



# ZDRÓJ

## DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE UMYŚLOWEJ

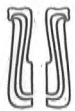
Nakładem Spółki Wydawniczej „OSTOJA” w Poznaniu. — Pod kierownictwem JERZEGO HULEWICZA.  
ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: „Zdrój” Poznań — Plac Wilhelmowski 17.

**Prenumerata roczna** (na pocztie) — 40 marek, **półroczna** — 20 marek, **kwartalna** — 10 marek  
**Zeszyt pojedynczy** 2 marki. — **Przesyłka pod opaską** 15 fen. za zeszyt.

**OGŁOSZENIA:** Cała strona — 150 mk., pół strony — 80 mk., ćwierć strony — 45 mk., jedna ósma strony — 25 mk.

**ADMINISTRACJA** otwarta codziennie od godziny 11-tej do 1-szej i od godziny 3-ej do 7-ej.

**OD REDAKCYI:** **Rękopisy** zwraca się po nadesłaniu kosztów przesyłki. — **Odpowiedzi na listy** za nadesłaniem marki pocztowej. — **Rękopisy bez nazwiska autora** i wyraźnego adresu niszczy się bez czytania. — **Redakcja** nie wdaje się w dyskusje na temat nieprzyjętych rękopisów ani nie podejmuje się żadnych ocen tychże.



Wykwintną brylantową biżuterję, znakomite zegarki

poleca

**W. SCHULZ W POZNANIU**

— Nowa ul. 8., w Bazarze. — Tel. 1484. — Rok założ. 1873. —



# „Westa“

## Bank Wzajemnych Zabezpieczeń na życie

Rok założenia  
1873

w Poznaniu

Rok założenia  
1873

Zawiera wszelkiego rodzaju ubezpieczenia  
na dożycie, na wypadek śmierci, na  
posag z rewizją lekarską i bez rewizji

W razie przedwczesnej niemocy zwolnienie  
— od spłaty składek i płatność renty —

**Nizkie składki**

**wzrastające dywidendy**

**dogodne warunki**

Ubezpieczenia ryzyka wojennego przyjmuje się  
i w czasie wojny

Siedziba dyrekcyi w Poznaniu  
w własnym gmachu św. Marcin 61

Oddział w Warszawie: Aleje Jerozolimskie 31  
Ajencye specjalne w każdym większym mieście.



załatwia z członkami wszelkie interesa bankierskie.  
**Pożyczki** na przystępnych i dogodnych warunkach.  
**Papiery wartościowe** jako pewna i korzystna lokacya  
kapitałów.  
**Rachunki czekowe** z wielkimi dogodnościami dla wpłat  
i wypłat.  
**Udziały członków** przyniosły 8 procent dywidendy.  
**Wkłady i oszczędności** oprocentowuje od dnia złożenia  
pieniędzy po 3, 4 i 4½ procent.

ADRES:

**BANK LUDOWY, Inowrocław (Hohensalza).**

# ZDRÓJ

P. 22287  
11 egz.  
ROK 1

1917

GRUDZIEŃ. ZESZYT 5.

## DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE UMYŚLOWEJ

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: OSTOJA — POZNAŃ. PLAC WILHELMOWSKI 17.

**TREŚĆ:** Do Wiktora Gomulickiego — list otwarty od redakcyi (przyczył Władysław Jarocki). Z przemówień Adama Mickiewicza. Glosa „do Genesis z ducha“ Juliusza Słowackiego — Edward Porębowicz (przyczył Jerzy Hulewicz). Z cyklu: Czerwone światło ogniska — Arkady Fiedler. U poetów (Jan Moréas) — Miriam (przyczył Jan Wroniecki). Opowieść rybalt (powieść) — Waław Berent (przyczył Jerzy Hulewicz). Książę przybierający (Dok.) — Rabindranath Tagore (spółczył Jan Kasprzewicz). O krytyce twórczej — Dr. Waław Moraczewski. Władysław Jarocki — Władysław Kozicki. Robaczkę świętojańską — Stanisław Skorupka. Miscellanea.

**RYCINY:** Trzy planse według obrazów Władysława Jarockiego.

## DO WIKTORA GOMULICKIEGO.

(List otwarty od redakcyi „Zdroju“).

Czcinajgodniejszy Panie!



głębką radością pomieściliśmy Wasz list otwarty do Miriam w piśmie naszym, które położyło sobie także za zadanie wiązać na nowo zerwane nici, łączące naszą terażniejszość z bogatą i dostojną tradycją naszej przeszłości w Romantyzmie i jej gorącym odbłaskiem, jaki się przejawia w wspaniałej iście twórczości w Polsce w ostatnich trzydziestu latach i która niczego innego nie pragnie, jak tylko być pomostem dla — oby Bóg dał — jak najjaśniejszego Jutra Literatry i Sztuki naszej — tych „dwóch pochodni“, bez których, jak czcigodny Panie, mówicie, „naród wpadłby w kalużę i przy wszystkich dobrodziejstwach materialnej kultury

stałby się: czystem, zdrowem, dobrze odkarmionem i zadowolonym z siebie — bydlę.“

Pozwólcie sobie, czcigodny Panie, wyrazić nasz serdeczny i głęboki podziw za o d w a g ę, na jaką Was było, by te słowa wypowiedzieć, godne tego bohaterstwa Norwidowego, które Was naraziłoby mogło „na lekceważenie ze strony sytych wołów i wieprzów dwunożnych“.

Tem większy nasz podziw i cześć dla Was, dostojny Panie, żeście wypowiedzieli te słowa w tej dzisiejszej epoce, która, jak mówicie, „pojęła życie wyłącznie jako w życie, głowy zaś schyla tylko przed bałwanami materialnej Siły i Potęgi“ — a nieskończenie wdzięczni Wam jesteście za Wasz wielki i natchniony zew:

„Ta epoka bardziej, niż wszelka inna, wymaga najwyższego napięcia czujności i wytyżenia sił ze strony twórców. Oni to „z ręki do ręki podając sobie płonący kaganek“, światłem Ideału rozjaśniać mają zalewającą ludzkość mroki“.

Twarde, a jak tragicznie sprawiedliwe są Wasze słowa, że fatalność wszystkie kamienie, jakie życie przygotowuje, by twórcy możność tworzenia odjąć, przez własne społeczeństwo mu pod stopy rzucać każe, i nieszczęsna prawda w tem, że Polska po wszystkie czasy k r z y z o w a ł a swoich poetów, o ile chcieli być poetami“ — a wywody Wasze zdaje się kulminować w pięknym powiedzeniu:

„Poeta i Świat“... W tem zamyka się wszystko: Cały ustrój społeczny, cała zasadnicza treść bytu ludzkiego. Te dwie siły nieustannie walczą ze sobą i od zwycięstw tej lub tamtej zależy przyszłość ludzkości: jasna lub ciemna, anielska lub zwierzęca“.

A któraż zatem przyszłość zwycięży: „Wygodna, zbyt kowna przyszłość, gnieżdżąca się w wytwornych pałacach, w których najwspanialszy wykwint współczesnej cywilizacyi europejskiej

parzy się z niechlujną chciwością grosza, brudnym egoizmem, którego „miłość Ojczyzny“, „ukochanie społeczeństwa“, „potrzeba“ narodowa streszcza się w bezmyślnym, trzykrotnym okrzyku: „Niech żyje!“ — czy też ta ofiarna przyszłość, która nielicznym twórcom wszelkiej przyszłości każe „odzieżać się dziurawym płaszczem dumnego hidalga, suchy chleb popijać wodą, ranić swe ciało na szpitalnym łożu i — co najboleśniej rani — być narażonym na lekceważenie zaskorupionych ślimaków przyziemnych — by mogli swobodnie jak orzeł swe skrzydła rozkładać, z nikim i z niczem — prócz geniuszu swego — nie licząc się — nikomu i niczemu — prócz Boga pokłonów nie składając. —

Przyszłość „zjadaczy chleba“, onych wyznawców wygodnego amerykańskiego pragmatyzmu, który uczy, że jedyną prawdą jest to, co jest dla życia „wartościowem“ i „użytecznem“, a innego kryterium nad „pożytek“ dla prawdy sądów naszych nie ma — czy też ta, o której mówi Słowacki w swym liście do Stattlera: „Sztuka jest narzędziem, otrzymanem z łaski Boga i danem duchowi dla finalnego celu, to jest spełnienia misji swojej na ziemi:

Każde zwycięstwo sztuki — jest zwycięstwem ducha w krainie przyszłości“.

Wszak o takiej przyszłości myśleliście, dostojny Panie?

Wszak nad tą przyszłością twórcy nasi czuwać mają i „światła strzedz, — światło bronić od zgaśnięcia“?!

Lecz jakżeż to uczynić, jeżeli społeczeństwo kocha snąć „złodziei, którzy to światło gaszą“, a cicieli światła krzyżuje.

I z Twych gorących i pięknych słów, z twych ciężkich zarzutów, jakie naszemu społeczeństwu stawiasz, że najgodniejszym z swego łona dawał „ciernie miast wawrzynu — łachmany zamiast złotogłowa“ — wyłoniło się dla nas jedno bolesne, do szpiku kości przeszywające pytanie:

Gdzie tkwi przyczyna tego nad wszelką miarę bolesnego stosunku między twórcą a społeczeństwem, gdzie szukać źródła tej bezustannej martyrologii tych, których losem w Polsce jest „sennie królestwo posiadać, n i e m e mieć harfy i g ł u c h y c h słuchaczy?“

Czyżby w tem, że społeczeństwo polskie jest, jak Wyspiański twierdził, wrogie Sztuce, czy też w tem, że twórca polski, miast mocą swego posłannictwa przewodzić narodowi, ożywiać go własnym duchem, ozdabiać własną pięknnością, stał się jego niewolnikiem, dał mu się doszczętnie ujarzmić jego chwilowemi potrzebami, oddał się na usługi jego wymogom, opiewa jego małuskie radości, oplakuje jego chwilowe nieszczęścia i klęski, uświęca jego biedne ideały: jednym słowem stał się najemnym i płatnym panegirystą tego społeczeństwa, w którym żyje w większej może jeszcze mierze, aniżeli byli nimi panegirycy na magnackich dworach XVI i XVII wieku. —

Tkwi więc może wina w twórcy, który wyzbył się tej godności, jaka łączy się z mianem twórcy, to znaczy, że on tworzy wartości dla społeczeństwa, on to podnosi społeczeństwo na wyższy szczebel kultury, on jest miarą, według którego obce społeczeństwa poziom kulturalny jego własnego sądzą i oceniają, czy też tkwi wina w społeczeństwie, które snąc nie ma żadnych kulturalnych potrzeb, a raczej kulturalnych dalej idących tęsknot i pragnień, i wszystko co się pnie na wyższy szczebel, na ziemię ściąga. —

W dopisku, który się ośmieliliśmy do twego listu dołączyć, nasunęło się nam pod pióro: jeżeli autorom piszącym prozą powodziło się względnie lepiej, niż tym, którzy tworzyli w mowie wiązanej, to jedynie dla tego, że proza polska nie znalazła jeszcze królewsko-zuchwałych Słowackich, ani też hardych, bezwzględnych a fanatycznych cicieli Prawdy, jakim był Norwid, — a równocześnie: gdyby Sienkiewicz się był odważył zapukać do tych form, które uwielbiał i uświęcał, by się przekonać, ażali nie są czcze i puste, stałby się może największym męczennikiem w Polsce mocą swego wielkiego talentu — jesteśmy skłonni przypisać winę — nie t c h ó r z e n i u artystów polskich w obec przemożnej opinii społeczeństwa polskiego, ale pewnej indolencji, pewnemu pasywnemu — och! jak trudno tu dobrać odpowiedniego rzeczownika — dobrowolnemu podaniu się terrorowi „opinii publicznej“, chociażby był on nawet najprzykrzejszy i najniesprawiedliwszy — terror, na który bezustannie twórca polski zgrzyta zębami, czego choćby najświetszym dowodem enuncjacye Żeromskiego: „Sen o chlebie i o szpadzie“. — Sąd jednak nasz, wyrażony w tym dopisku, może być przedwczesnym i chętnie go sprostujemy, jeżeli zdoła się nam nakłonić wszystkich twórców polskich, by raz wreszcie z całą bezwzględną szczerością zaznaczyli swoje

stanowisko w obec społeczeństwa. Przedstawicielom zaś społeczeństwa — i to rzeczywistym przedstawicielom tegoż — będziemy niezmiernie wdzięczni, jeżeli zechcą na łamach naszego pisma z równą szczerością wypowiedzieć, czego od twórców społeczeństwo żąda.

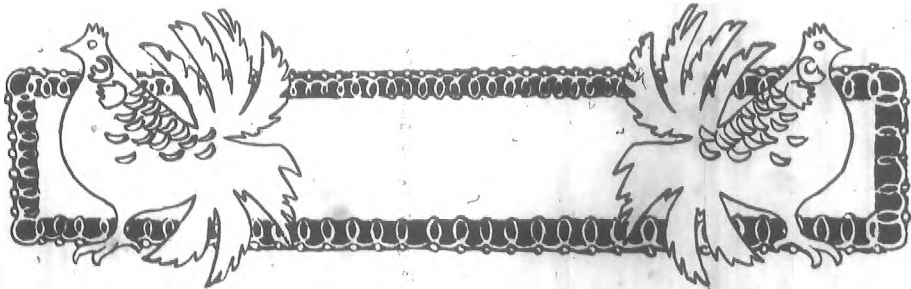
Ty zaś, czcigodny Panie, któryś miał odwagę swoim listem otwartym do Miriami poruszyć tę najprzykrzejszą bolączkę w życiu kulturalnem polskiem, nie omieszkaś zapewne wypowiedzieć swego szczerego i bezwzględego zdania co do tych dwóch sił, walczących nieustannie z sobą: jasności i ciemni, anielskości i zwierzęcości.

Gdzie tkwi przyczyna tego zażartego boju, gdzie wina, że ta walka coraz więcej się rozognia, gdzie widzisz możliwość porozumienia się „Poety z światem“?

Wnioski, czcigodny Panie, jakie z Twego listu otwartego wysnuliśmy, to nie popoh do jakiejś zwykłej a n k i e t y dziennikarskiej, to raczej głęboki hołd, który Tobie składamy, bo Twoim listem zainaugurowałeś całkiem nową epokę w naszym życiu kulturalnem; tę mianowicie, w której twórca ma możliwość porozumienia się z społeczeństwem i na odwrót z bezwzględną szczerością, na progu świtania nowego życia dla Polski. A jesteśmy szczęśliwi, że to porozumienie odbyć się może na łamach tego pisma, które według naszego prospektu jest własnością wszystkich twórców polskich, a z którym zwróciliśmy się do społeczeństwa polskiego z tem pragnieniem, by się czuło z niem wewnątrznie związane.

W niepełnej nadziei, że słowa Twoje, czcigodny Panie, spowodują twórców naszych, iż dorzucą głosy swe, by pomóżd w wypełnieniu przepaści między „Poetą a Światem“, twórcą a jego społeczeństwem — przesyłamy Ci wyrazy najgłębszego szacunku i podziwu dla gorącej młodości, której ani czas, ani ciężkie przeciwieństwa życia w Twem sercu wystudzić nie zdołały.

Redakcja „Zdroju“.



## Z PRZEMÓWIEN ADAMA MICKIEWICZA.

„...Jest jeden rodzaj ofiary, właściwy naszej epoce, przed którym człowiek najodważniejszy, najszlachetniejszy, najwytrwalszy cofa się niekiedy z drżeniem. Tego rodzaju ofiarą jest poświęcenie naszego *Ja* duchowego, wystawienie go na pociski rozumów i pychy, dowcipów i złości, szyderstw i żartów brukowych.

Kiedy mówię o *wystawieniu* naszego *Ja*, nie rozumiem przez to tych *wystawian* naszych opinii, albo uczuć rzucanych publiczności w pismach i z *daleka*, lub też rozsiewanych *po cichu* między przyjaciółmi. Nie! Przez ofiarę ducha rozumiem czyn człowieka, który przyjąwszy *prawdę*, przepuściwszy ją przez swoje ciało, nosi ją w sobie, jawi na zewnątrz, służy jej za organ, za twierdzę i za wojsko, nie dbając na spojżenia, sykania i żądła wrogów. Jest to najzacieńsza i najboleśniejsza z wszystkich ofiar. Tylko narody bardzo stare mogą czuć, jak ona kosztowna i ciężka. Wiadomo, że narody najwaleczniejsze i najsmielsze, Francuzi i Polacy, właśnie najwięcej boją się *śmieszności* i najtrudniej u nich o *odwagę cywilną*...

Literatura Słowiańska, Lekcja VII — 7-go lutego 1844.

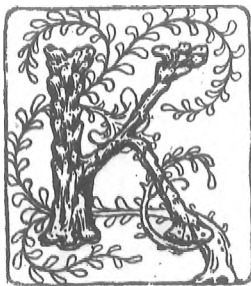
EDWARD PORĘBOWICZ.

## GLOSSA

DO „GENESIS Z DUCHA“ JULIUSZA SŁOWACKIEGO

ZENONOWI PRZESMYCKIEMU

poświęcam.



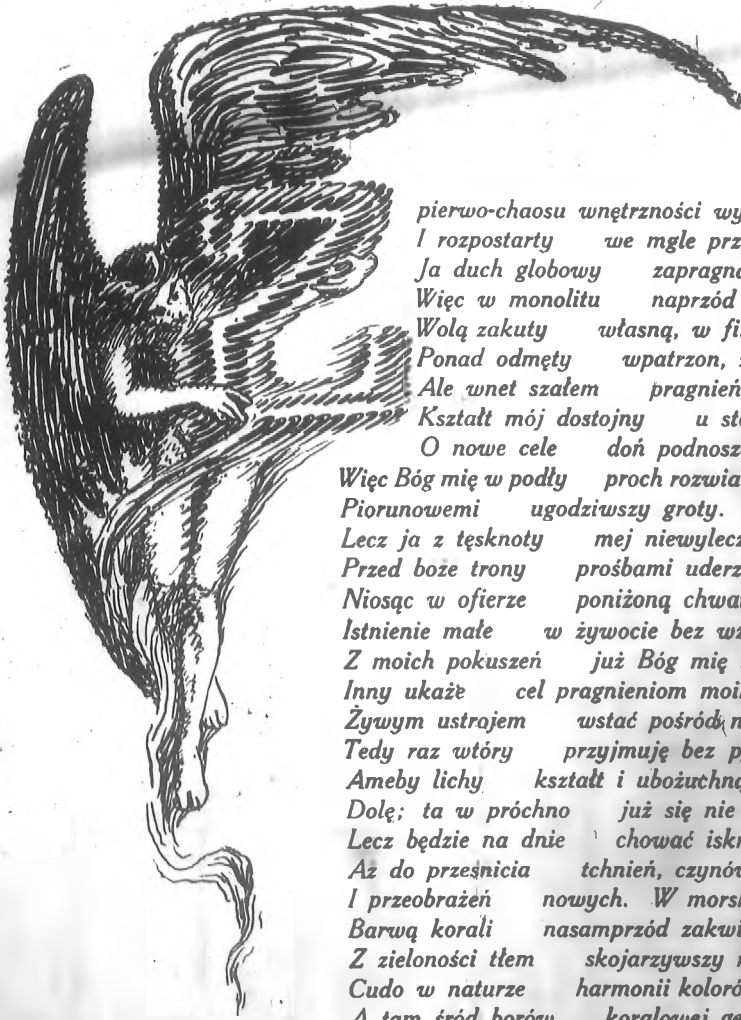
iedy Gwido Cavalcanti, Toskańczyk, spółczesnik Dantego, układał swą najuczciwszą, najciemniejszą, tłumowi najmniej przystępną kanconę „O naturze, ruchach i działaniu Amora“, słynną kanconę „Donna mi prega“, wybrał dla niej równie formę niebywałą, przewyższającą najkunsztowniejsze gędzby owych czasów: rym dośrodkowy, — „rima al mezzo“.

Słowacki w ostatnich dniach życia, prawie już przeczołwieczonego, jak widno z fragmentów<sup>1)</sup> układał rodzaj trylogji, na którą byłyby się złożyły: przerabiana wierszem „Genesis“, duży fragment nazwany niewłaściwie „Teogonią“, wreszcie „Król Duch“ jako część trzecia. I oto, szukając kształtów dla tej nowej Genezy, co miała odkryć „najstraszniejszą tajemnicę“, natrafił, rzecz szczególna, na „rima al mezzo“:

O najstraszniejszą z wieści pytałem Pana Boga,  
A wtem u mego proga ujrzałem krąg pajęczy  
Naksztalt miesięcznej tęczy...

W istocie forma ta swą łańcuchową ciągłością narzucała się jako doskonały symbol nieskończonych wysnuwań bytu, ale despotyczna i dławiąca snąc kępowała monarszą wolę mistrza; powracał do niej kilkakrotnie, lecz w końcu zarzucił. Kusilo mię pomyśleć, jakby wyglądały dzieje stworzenia, śladem poety fantastycznie z doktryny transformizmu wysnuta. Tak złożyła się prawie sama, bo pióro szło za rymem jak spętany jeniec, — niniejsza Glossa:

<sup>1)</sup> Fragmenty te, w wydaniu prof. dra Bron. Gubrynowicza znajdują się rozdzielone: fragmenty „Oto podstawa wasza i podstawa świata“ (Gubr. I. 263); — „Na to jedna odpowiedź“ (I. 260) oraz „Bom ja przed wieki był i byłem w Panu (IV. 310) należą do „Teogonii“, zaś do „Genesis“ należą: „Oto kolumna ducha“ (I. 252); — „O najstraszniejszą z wieści“ (I. 358); — „O tajemniczo dziwna“ (IV. 336).



pierwo-chaosu wnętrznosci wydarty  
 I rozpostarty we mgle przedwiekowej  
 Ja duch globowy zapragnąłem bytu.  
 Więc w monolitu naprzód kamień luty  
 Wolą zakuty własną, w firmamenty  
 Ponad odmęty wpatrzon, zolbrzymiałem.  
 Ale wnet szalem pragnień niespokojny  
 Kształt mój dostojny u stóp Twórcy ściele,  
 O nowe cele doń podnoszę modły.  
 Więc Bóg mię w podły proch rozwiął po ziemi,  
 Piorunowemi ugodziwszy groty.  
 Lecz ja z tęsknoty mej niewyleczony  
 Przed boże trony prośbami uderzę,  
 Niosąc w ofierze ponizoną chwałę.  
 Istnienie małe w żywocie bez wzruszeń.  
 Z moich pokuszeń już Bóg mię nie karze;  
 Inny ukaże cel pragnieniom moim:  
 Żywym ustrojem wstać pośród natury.  
 Tedy raz wtóry przyjmuję bez pychy  
 Ameby lichy kształt i ubożuchną  
 Dolę; ta w próchno już się nie rozpadnie,  
 Lecz będzie na dnie chować iskrę życia  
 Az do prześnięcia tchnień, czynów i wrażeń  
 I przeobrażeń nowych. W morskiej fali  
 Barwą koralu nasamprzód zakwitłem,  
 Z zieloności tłem skojarzywszy różę:  
 Cudo w naturze harmonii kolorów.  
 A tam śród borów koralowej gęstwy  
 Już syt zwycięstw nad barwą zieleni  
 Z podmorskich cieni tęsknię do pieaszczoty  
 Jasności złotej, ofiarując w dani  
 Morskiej otchłani oglądane dziwy.  
 Więc dobrotliwy Bóg wziął w ręce swoje  
 Te niepokoje ducha; dobył z fali  
 Nad krzew koralu i posadził wiosną  
 Czerwoną sosną na przyczółku morza.  
 Pieściła zorza mych warkoczy kiście  
 I powłóczyście wiatr między konary  
 Snuł swoje gwary a zaś w dzień słoneczny

Na marmur mleczny cienie fioletowe  
 Rzuciłem; nowe dał mi Pan Bóg zmysły,  
 Które mi błysły nowych wrażeń brzaski,  
 Nieznane łaski zesłyły do mnie w gości:  
 Żaru, jasności, tchnień wiatru, widoku  
 Morza w otoku pagórków falistych.  
 Z tych odczuć i z tych przemożnych rozkoszy  
 Nagle mię spłoszy świadomość mych oków,  
 Gdy lot obłoków ujrzał ponademną.  
 Już mi nikczemną dołą się wydawa  
 Tak nie mieć prawa do nadniebnych lotów.  
 Więc byłem gotów zrzec się wysoczystej  
 Kibici, w czysty lazur zapatrzania,  
 Wonnego tchnienia mojej krwi żywicznej  
 Za niebotyczny i nieopętany  
 Ruch; Pan nad Pany przyjął prośby moje  
 I dał mi dwoje skrzydeł, abym niemi  
 Nad prochem ziemi panował; krążyłem  
 Nad ziemskim pyłem dumnie i radośnie.  
 Wtem mię ochłodziła północna wichura;  
 Skrzydeł mych pióra ubrane w szron biały  
 Z zimna sztywniały obwisłe i skrzepłe.  
 A gdy o ciepłe modłę się odzieże,  
 Pan Bóg mię w zwierzę przedzierzgał padolne.  
 Odtąd mię polne karmiły owoce,  
 Źródło w opoce studzone poiło.  
 Obronny siłą zębów i muszkułów  
 Ku górze tułów przeżyłem i głowę.  
 A już w osnowę mych pragnień się wkradło  
 Jakieś widziadło potęgi i władztwa  
 Ponad bogactwa ziemi i jej twory.  
 — (Tak wielowzory kształt mój raz po razie  
 W marzeń obrazie naprzód się przegląda,  
 Czego zażąda, tem go Pan Bóg darzy). —  
 Teraz więc twarzy dostojnej człowieka  
 Szła mi z daleka upragniona zjawia.  
 Duch się podawa na tę szczytną rolę.  
 Wszystka w zespole moc mego jestestwa  
 Na ton szlachectwa tego się nastraja  
 Radośnie; zdwaja we mnie osobowość:  
 Ziemiska chwilowość i byt niezniszczalny  
 Jak w hostji mszalnej razem mi świadome.  
 Na szczyty strome wielkości się darłem  
 I bywszy karłem, rostem na olbrzyma.  
 Duch mój oczyma nieprześcignionemi



Po krańcach ziemi,      po czasie rubieży  
 Biegł tak, jak bieży      piorun zaobłoczny.  
 Był mi widoczny      z jednego spojrzenia  
 Wszechbył stworzenia      śród kolejnych przemian.  
 Najwyższy z ziemian,      wszystkie formy życia  
 Znałem z odbycia      wszystkich przeobrażeń,  
 Z odczucia wrażeń      każdego ustroju:  
 Czy w ciągłym boju      walczy o swe prawa,  
 Czy się napawa      słońcem, pieśnią, ciszą,  
 Czy go kołyszą      oceanu fale.  
 W najwyższej chwale      stoję, bo u świtu  
 I w zmierzchach bytu      żyłem. Więc wzajemnie  
 Budzi się we mnie      jakaś moc tworzenia;  
 Kształty się z cienia      myśli wytuszczają  
 I żywe stają      w postaci spoistej.  
 To są ARTYSTY      szczytne przywileje.  
 Na mnie się dzieje      człowieczeństwa łamią...  
 Znam tę śmierć, znam ją      z bolesnych ogromnic  
 Przeczucić, że po mnie      większy się nie zrodzi,  
 Moc szczepu schodzi      ze mną do mogiły  
 I jeno pyły      posłużą mych kości,  
 By od nowości      kleić krąg żywota...—  
 — Lecz przez te wrota      śmierci duch znów wolny  
 Ciężar mozolny      zrzuciwszy, oblata  
 Granice świata      i w tym go zachwycie  
 Już inne życie      nie nęci...



## Z cyklu: CZERWONE ŚWIATŁO OGNISKA

## SKRAW PAPIERU.

Homo sum. —

Oto skraw papieru.

Mały.

Czysty.

Biały jak kielich lilij.

Czysty jak dusza dziecka.

Czysty i biały.

Ogień pluje promieniem krwawym, ale skrawka nie zdolen poplamieć — skrawka tak czystego i białego, że oko pieszczone krańcziej i pławi się w nurtach tych białych i czystych fal jak płocha nimfa.

Skraw papieru ujrzał także towarzysza.

Podniósł.

A ponieważ dno garnca było osadzone, zaczął skrawkiem papieru ścierać brud.

Potem skrawek brudny rzucił na dawne miejsce.

Struchlał mój wzrok.

Oburzenie.

Wstręt.

Nienawiść zdławiła mnie.

Że przedtem był czysty i biały, a teraz brudny i pomięty, pomyślałem: wstrętny skraw.

Że towarzysza stał nim brud z garnca, pomyślałem: wstrętny skraw.

Że obraził rozplonione oko, pomyślałem: wstrętny skraw i pełen winy.

I pełen wstrętu odwróciłem wzrok.

Homo sum.

## DZIEWANNA.

Kiedyś, kiedyś, gdy pacholeciem byłem niewinnym, ojciec wskazał mi kwiat i rzekł:

— To dziewczanna!

Tak poznałem dziewczannę i wplotłem ją w warkocz rosnący mego światka.

A w tym świecie był już rów słoneczny z jeżynami, gdzie żółta dziewczanna stała, był strumyk z rybkami, i łąka kwietna, i stara olcha, i piasek biały, i płochy motylek, a w korzeniach olchy pełno tajemnicy. I była w pobliżu mocarna dłoń ojca.

Tak poznałem dziewczannę.

I dziś ją ujrzałem.

Z wianuszkami żółtymi na cienkiej patyczce i skromnymi listkami.

Ujrzałem ją, gdy zdjęta ciekawością, do nas się skradała i nagle światłem ogniska oślepiąca, stanęła jak wryta, udając uspioną czy nieżywą, niby gaśienica palcem dotknięta.

Stała opodal, i gdy płomień rozdymał się i napuszał jak dorobkiewicz i wysoko się piął, widziałem wyraźnie jej wianuszek żółty i widziałem każdą żyłkę jej listków skromnych — widziałem, niestety noc czarna obok niej, noc za nią, ciemnię widziałem, pustkę...

Pustkę tak rozpaczną, że słychać prawie było zdławiony okrzyk: ratuj.

A jednak wiem, że ongiś dziewczanna rosła w słonecznym rowie z jeżynami, a nad nią hasały złote motyle.

ARKADY-FIEDLER.

## U POETÓW

JAN MOREAS.

## Z „KANTYLEN.“

*Głosy powrotne, sennie, kołyszcie mię w sny:  
Przygasłe zwrotki zdarzeń, co znikły w rozwiei,  
I jasne dzwonki mułów na skręcie alei.  
— Głosy dawne, pamiętne, kołyszcie mię w sny.*

*Wonie, upójdźcie wy mnie, wonie dawnych dni:  
Zapachy skryte w świeżem run rozkosznych zniwie,  
Ciał bursztynie, ciał piżmo, warg — gwoździków dziwie.  
— Wonie, upójdźcie wy mnie, wonie dawnych dni.*

*O tym brzasku zimowym i mrocznym, skowronek,  
O tym brzasku zimowym zmiłkł skowronek-dzwonek.  
— Głosy powrotne, sennie, kołyszcie mię w sny.*

*Jak dawno ścięto lilie w ogrodzie, i róże,  
I kosaćce nad brzegiem wód w posepnej chmurze.  
— Wonie, upójdźcie wy mnie, wonie dawnych dni.*

*Z zacienia długich włosów, czarowne boginki,  
Śpiewałyście cichutko, kołyszając mój sen,  
Z zacienia długich włosów, o drobne boginki, ✕  
W borze pełnym czarodziejstw i zaklętych scen.*

*Śród kniei w cuda czarów i zaklęć bogatej,  
O skrzaty litościwe, kiedym, cicho spał,  
Dałyście mi ochotnie, dobre, miłe-skrzaty,  
Z dłoni w dłoń berło złote — niestety! gdym spał.*

*Dowiedziałem się później, że to baśń i złuda  
Wszystkie te berła złote, pieśni w głębiach kniej;  
Lecz żał mi ich, jak dziecku, które wierzy w cuda,  
I chciałbym zasnąć jeszcze w mrocznej głębi kniej.*

*Mniejsza o to, że wiem dziś, iż to baśń i złuda.*

*I pójdę, gdzie u brzegów morze wiekuiste  
Rozpienia się, rozjęcza w śródskalne odmęty,  
Wyżymając fal chwosty na śródskalne męty.  
I obejdę twe brzegi, morze wiekuiste.*

*Przyjdę złożyć u ciebie, morze macierzyste,  
Pomiędzy morszczyzn węzły i rozbicia szczęty,  
Me marzenia, mą dumę, chmurne życia szczęty,  
Byś je ukotysało, morze macierzyste.*

*I słuchać będę krzyku rozsłochanych mew  
Pod niebem głuchem, czarnem, jako zgryzot dzwon,  
Krzyku, co w świstach wichru łka jak zgryzot dzwon.*

*I sam szłochać też będę, jak te stada mew,  
I zbierać wążle lilie, smętny aż po zgon,  
Lilie tych brzeźnych piasków, blade jako zgon.*

Z „LE PÉLERIN PASSIONNÉ”.

ELEGIA TRZECIA.

*Był to jakby farsalski ów szlak: rannych sznur  
U jam*

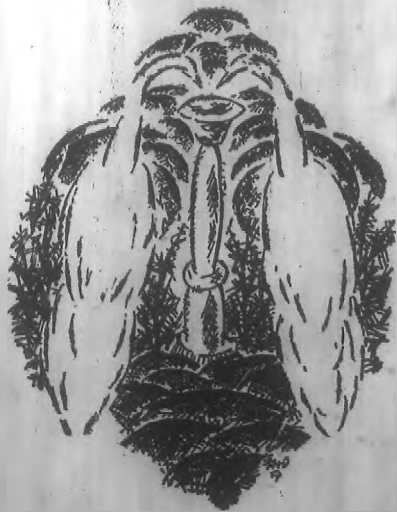
*Marł okopowych, przeokropny chór; —  
Tam, kędy wrócić dano było nam,  
Z Psychą, mą duszą.*

*I rzekłem jej: „Prawda wszak?” I rzekłem jej:  
„Jakże się walą tuki te, a ten łup ich jakież to szych!  
Ach, broń uległa kłątwie zlej,  
I cześć sztandarów tych!  
Psyche, ma duszo!”*

*I był to jakby Czyściec, kędy rozpacz mar  
Czół podnosiła srom,  
A każdy palce szarpał, darł; —  
Tam, kędy wrócić dano naszym snom,  
Psyche, ma duszo.*

*I rzekłem jej: „Prawda wszak?” I rzekłem jej:  
„Ach, potępieńce, które żalność gna,  
W błogostawiony kwiatów rajskich rej  
Kiedyż się, komu zmienić da,  
Psyche, ma duszo!”*

MIRIAM.



WACŁAW BERENT.

## OPOWIEŚĆ RYBAŁTA.

(CZĘŚĆ II.)



a palcach rannej ręki odliczał goliardowi nowy jego przyjaciel, jakie są pierwsze potrzeby w porwaniu się do czynu: — Dobyć ojcowy miecz, zastawiony u żydów; odszukać obecnych tu może na odpuście powinowatych jakich: — na tak zacne rycerstwo familia pożyczki nie odmówi; — nakoniec dostać się na zamek, aby wziąć na się kolory i tęsknotę swej pani, bez czego niema w rycerstwie niczyjem dzielności powinnej.

„My waganty prościej wyruszamy w światy“, — pomyślał goliard. — „A i bez pożyczki“. — Ale przychrząpnął w gorliwym potakiwaniu takiej przeczności rycerza.

„Chodźmy!“ — rzecze żwawo.

Ruszą tedy w zaułki i podmurza grodzkie.

Stoi żyd u bramy w szachowej sukni i spiczastym kołpaku; żółtą ma na ramionach chustę, jak prawo każe. Zagadnięty, toczy w palach koniec siwej brody, krzywi gębę w spojzeniu; zamyśla ostrożnie, coby odpowiedzieć.

Widzą: źle bardzo! Błyśnie rycerz krótką stałą mizerykordyi żydowi przed piersią. Kupiec zbladł, cofnął brodę, posiniały wraz staremu rozedrgane wargi. Ale krzepi się cofnięty. I zapala w oczach te ognie, które wszystko zapamiętać obiecują i wszystko w porę odemścić, — jak to oni. Poczem wzdął się brzuchem i rzecze hardo:

„Zbroję nabył płatnerz, miecz zasię wykupił poufnik królewski“.

Bardziej zbladł pono teraz i z większem cofnął się przerażeniem rycerz sam: gdzie królewski poufnik w sprawę się wmiecha, zawisa nad nią króla rękawica czerwona.

A żyd tymczasem:

„Wiele pieniędzy wysypał mi na stół pan z zamku. A sfukał mnie gębą i zgronił okiem, że śmiem przyjmować takie zastawy. Miecz rycerza, powiadał, od którego cenniejszy był tylko chyba oręż pana Lancełota samego“. (Już żyd wiedział o czem opowiadano w piekarni, — u nich bo wieści zawsze najprędzsze).

„Prawdę ty mi powtarzasz?!”

„Nie wierz mu, panie, nie wierz wcale!“ — goliard aż wpół obejmuje nowego przyjaciela, chcąc mu oszczędzić alteracji tak płonnej.

„Ty w siebie tylko wierzysz!“ — odepchnie go rycerz cierpko.

I odwróciwszy się odeń, zapłaczę w dłonie nad zaprzepaszczonego miecza ceną u ludzi. (Každy rzewnie w to wierzy, co mu podchlebia).

A żyd przypomina sobie oto nagle płaszcz i szatę, które mu był za cenę miecza odprzedał. Choć palcami tknąć ich teraz nie śmie, smakuje z daleka dotyki ich miękkie, mlaska językiem na kolory, chwali sobie swój towar niedawny:

„W taki strój kogo chcesz ubierz, kobiety zjedzą go za cukier“.

Szarpnął się teraz pan bardziej pono, niżli żyd przed mizerykordyą w piersi. Że wywyższony podchlebstwem przed chwilą, tem głębiej odczuł zepchnięcie wraz potem uragliwe. Odrząci od się bazyliuszka, cmokającego szeroką wargą.

A żyd pokłony już oto bije i czoła dotyka przed osoby dostojnością. A za odchodzącymi panami zamiata ziemię kołpakiem.

Przez kolumnowe podcienia ulic i kręte zaułki, tu i owdzie sklepione w bramę, wywiodła ich droga pod gołą ścianę kościółka. W tej ciszy, zdala od zgiełku odpustowego, rozłożył lekarz swe zioła w misach na ławie; drugą ławę dla chorych przygotował, wór z narzędziami opodal położył; sam zaś siedział na dywanie pod kościołem w spokojnem oczekiwaniu na niemocnych.

Zrazu minął go rycerz idący z goliardem, nagle powiódł badawczem okiem po tych ziołach, chmurnie ścisnął podbródek w dłoni i odezwał się wreszcie:

„Masz li, lekarzu, ziele zapomnienia?“

„Mam tu zioła wszelakie...“

Ciężko podejmował się stary. I nie prędzej mówić dalej raczył, zanim go na ławie chorych nie posadził.

„Mam tu ziola wszelakie“, — mówił, zasiadając naprzeciw niego, tak, że go kolanami dotykał. — „A czegoż to, panie, zapomnieć wam trzeba?“

„Szczęścia, dobry lekarzu“.

Uważnym zezem dopyta się lekarz reszty. I doczeka się odeń ciężkiego westchnienia. Już wiedział tedy, co mu było trzeba: przytakuje swym myślom brodą siwą. Poczem palec przed się wystawia i rzecze:

„Mam tu ziola wszelakie. Mam i kamienie wielce pomocne, w których ta siła jest, że, na piersiach noszone, powracają nas do cielesnego zdrowia. Alić twoje cierpienie, panie, nie zda mi się cielesne. Bowiem wiedz: trojaki są niedole doczesności naszej, a wszystkie one z grzechu pierworodnego idą. Gdy Adam śmiertelność człeczczą z jabłkiem wężowem zjadł, wówczas i ciała choroby wszystkie, i duszy zniemożenia wszelakie zjadł z temże jabłkiem. Stąd troistość nędzy doczesnej. Na śmierć lekarstwo kościół ma. Na ciała słabości zalecili nam leki skuteczne mistrze: Hipokras, Avicenna, pani Trota z Salerno, Hildegarda święta, oraz inne mężę uczone i mądre niewiasty. Alić na duszy zaniemożenie, gdy pacierz nie pomaga, każdy lekarstwa w życia ochocie żwawo szukać winien. Tedy-ć rzekę: co nam Adam pod jabłonią przyczynił, tego i chrzest święty z nas zdjął, — a mnisze cnoty w tęsknocie za jedną tylko cię zniędznia przed resztą. Zniędznia i przed życiem nowem samem“.

Odgadując ku czemu zmierzają te dorady, odmachnie się rycerz od nich oburącz.

„Kobiety-ż to przyczyniają nam na ten koniec ciała smęt i duszy zaniedbanie w melancholii. One-ż to, dobry lekarzu!“

Pokiwa się przez chwilę lekarz siwobrody:

„Ja, stary, dawnom je sobie omierzył. Ale ty innym stać się pragniesz. Uczyni mnie innym, lekarzu! — prosisz się jak wszyscy ci chorzy. Z nimi to ja ziołami paskudzić się muszę. Tobie zaś, panie, — żeś młody, — wyznam: Innymi czyni nas, bywa, za młodu (kobietom tego nie powiadaj!) każda miłość inna. Bowiem wszystkie bujności młodego w życiu zdziaływania (mnichom tego nie powtórz!) z Ewy są jabłka i wężowej w nas ciągle namowy. Pókiś młody!.. Ja zaś, stary, jednakim już pono zostanę — do śmierci.. Abyś zasię z prózną garścią ode mnie nie odszedł, odsypię ci w nią szczyptę ziela ukojenia, które sny łagodne daje i otuchę na grzechów odpuszczenie w sercu nieci.. Bóg zapłać za datek szczodry.. A gdy ci nalewka z ziela mego niejaką ulgę czasami przyniesie, zmów, proszę, nad ranem pacierz do świętego Józefa, który mi jest patronem: — niech będzie łaskaw w niebie dla dobrego lekarza“.

Ledwie odeszli od niego, a rycerz sęposępiał coś bardzo. Pod oddech ciężki jakby kamień jaki toczył mu się w piersiach i opadał nagle pod westchnienie głuche.

„Nie tęsknijże, panie, tak strasznie, na Boga!“

„Od was to mam“, — mruknie tęskliwiec ponury.

Ale goliard, który pilnie baczyl na jego zachowanie się przed żydem i lekarzem, odzyskał było tymczasem utraconą pewność klerka. Pociąga znów wiatory kaptura.

„Bywa, — rzecze, — przytrafia się, że Muzy wielbione w latach żaka pozostawiają komu na lata jego dojrzałe już tylko ten upór w tęskliwości miłosnej, do której dowiesz się potem wszystkie swe porowy zacząjniejsze i dążenia w życiu. A że, tak poczęte, zawodzą zawsze, więc... „winne są Muzy“, — parska potem pod starość już swoją. I nas za to gromi. — Nazbyt wiele tego widzi się dzisiaj i słyszy w życiu. — Mde mam serce dla tych żalośników. A i lekarz prawdziwie powiadał, że tęskliwiec tylko się zniędznia przed życiem. Okpi go, wyszydzi i pognębi każda chytrność zimna. I odepchnie wreszcie precz życie nawet samo“.

„O kim-że ty to mówisz?!“ — aż się w zdziwieniu rycerz na miejscu zatrzymał. — „O mnie czy o sobie powiadasz? Nie żyjesz-że ty sam, człeczce, zarojeniami tylko? Czyż nie wyszydza was goliardów za to powszechność cała?“

„My po zarojenia nasze garścią w życie nie sięgamy. Ani sięgać nie uczymy, — jak to, czynią żonglerzy, którzy lubią żyć w zgodzie z powszechnością. Rzecz nasza w duszy twej się kończy, w życie nikogo nie powiedzie sama. Nie pragniemy być wodzami ślepych, jak nie pragnął tego i Paweł nawet sam“.

„Oh!“ — zachnął się rycerz na to wysokie porównanie klerkowej pychy. — „Ale ty, baczę, i w porowy człeczce nie wierzysz: od zła ku dobru, od niższego ku wyższemu, — jak o tem żongler pięknie opowiadał w piekarni“.

„Nazbyt już często przoduje w duszach onym porywom pani Wenus“.

„Ty, widzę, i w ten płomień nie wierzysz, jakie nam w sercach zapalają przecie Muzy same?“

Goliard odymał wargi.

„Chłodniejsze mają serca Apollina panie, niżli się to wam laikom powszechnie wydaje. Zasię on sam nie w sercu ma płomień, lecz u zioła.“

„Wolę ja po stokroć gorące słowo żonglerów, które w życie wiedzie!“

„Wierzę-ć panie. Jesteś wszak sam z nich cały: z żonglerów ducha. A wielu dziś takich na świecie“.

Chciał było obruszyć się na to rycerz, ale, spojrzawszy na goliarda, machnął tylko ręką wzgardliwie.

„Blіżsi nam przedsię bęą zawsze ci, którzy z nami naszym sercem żyją, — a nie klerki, nie goliardy“.

„Doznaję tego w życiu swem“.

I poszli dalej w milczeniu.

Łęskliwcowi każda, by najdrobniejsza, gorycz chwili, a niepewność siebie samego zwraca niechybnie myśli ku kobiecie. Wróciła tedy na niego ta fala łęsknoty i objęła całkiem. Aż go z tego otepienia goliard pociąganiem za płaszcz cucić musiał.

„Panie, panie! — naglił go szeptem, — nie krewny to twój czasami: tamten, po drugiej stronie ulicy! Człek, widzę, zasobny“.

„Chyba nie“, — odrzekł jak ze snu, nie obejmując się nawet uważnie za przechodniem onym.

„Chyba!.. — przedrzeźniał goliard, wielce podrażniony nagle tą niedokładnością — Chyba!.. No, „tak“ czy „nie“: koniec końców?!..

A spojrzawszy na jego twarz markotną, na ten męt rozłęsknionego wejrzenia w próżnię, wpadł oto goliard w ostatnią już pasyę:

„Polknij, panie, z miejsca wszystko ziele, jakie ci dał lekarz i przestań już raz myśleć o tej k... z zamku!“

I byłby to słowo życiem bez odwłoki przypłacił, gdyby nie przechodnie na ulicy. Niedźwiedzia zjuzzonego głosem ryknie coś przed nim i zamachają łapy, na oślepie sięgające po głowę jego. Ale widok ludzi oprzytomnił rycerza, pewnie w tem zastanowieniu, by tajemnic swej pani nie dawać na rozgłosy uliczne. Jednak ten szal gniewu, — że niewyłađowany, — odurza go wciąż jeszcze, ochmiele krwi ciągłym napływem do głowy: — aż się pod mur potoczył, niczem pijany, by go z nóg nie powalił ten gniew, w którym zabić nawet czelaka nie może. By widokiem swym nie kusił ku temu, ramieniem oczy przed nim przysłałania. A druga ręka szuka przecie wciąż jeszcze przed sobą goliardowego gardła. Rozwiera się i zaciska kułak, aż trzeszcza palce.

„Zabiję!.. Drugiego już pono czelaka... z tej samej przyczyny“.

„Aha!“ — przytakuje goliard domysłom swoim.

„Za kim powtarzasz i ty, łotrze, tę ohydę?... Kto tobie znów powiadał to o niej?“

„Ty sam, panie, opowiadaniem swem przede mną. A i sumienie twoje w tym niepokoju od pierwszego słowa o niej: „Słyszałeś już co? Mówili ci co ludzie o niej? Nie?!“ — także się niepokoił w onczas w zwierzaniu swojem. Już twe sumienie dawno ją osądziło — w zatajeniu przed łęsknotą twoją... Usłyszałeś tedy słowa przyjaźni, — bo tyle tylko wart przyjaciel w życiu, że się człowiek czasem z sumieniem własnem głośno i jawnie rozmówi. Ku temu właśnie drugie przykazanie gwałowemu szukania...“

Przerwało mu ogromnie smutne zapatrzenie się jego oczu. Opadł kułak pomsty.

„Mądryś jak Marcholt, goliardzie. Umiesz przecie nikać dusze ludzkie. I wiesz jak każda zażyć w przekonywaniu“.

Lecz oto znów ten napływ gniewu do głowy: „Powiadaj, co ludzie o niej mówią!“ — warknie głucho.

Goliard wzruszał ramionami. „W żonglerowych opowieściach lubowała się niegdyś pani, — wie o tem miasto całe“.

„I?!..“

„My, igrcie, pań świętych nie przysparzamy kościołowi Bożemu“.

Jak w ciemności uderzony opuścił rycerz głowę, tem najbardziej docisnięty, że przed samym sobą upokorzony. Wbiły mu się oczy w ziemię:

„Czy nie szatana to aby sacerđotes ambulantes, jak tych waganów nazywają ludzie?.. Ni te kuglice butlą, kułą i nożem, tak one igrcie i mitrą, i koroną, i wiankiem dziewczęcym igrać gotowi, — a i dołą i niedołą czelczą, — a i wszelką treścią dusz ludzkich. Jakże to wie się ich hasło? *Vitam explorare!* — Ni to czarowniki, warzą z żywej krwi serc czelczych swej igry holocausty — pod gęśli zakłęciem. Niejedna pewnie dusza czelczą, — niewieścia, czy męska, — upiwszy się tym abkochem, wyzbyła się swej woli prawiczej: k... się stała! Przykłada się każdy chór człowieczeństwa do jakiegoś pożytku dla powszechności, igrcie zaś nie przyczyniają się niczem do pomysłności powszechnej: *Quod est monstrum!* — gromił to słusznie któryś tam z ojców kaznodziejów... Prawdziwie, życia to chyba potwory, wytracony chór człowieczeństwa!“

Wreszcie rzekł głośno:

„Na śmierć przyszedł może zaśpiewać ten chór wasz ofierze ducha swego“.

Goliard zaniepokoił się. Bo te oczy smutne zapatrzyły się w tej chwili przed się jakoś niesamowicie; zaś twarz, dotychczas w gniewie czerwona, stała się nagle szara jak ten mur.

„Co z tobą, panie?!“

„Nic to! — Nic to!“ — odpycha go od się, jak to zło, by nie następowało na duszę... „Zwidziało mi się już po raz drugi dzisiaj“.

„Co takiego, na Boga?!“

„Czerwona rękawica króla...“

Tu już goliard przeraził się zupełnie tym ponurym zwidem ostatniego prawa na ziemi. I, zakrzętawszy się gorączkowo, odciągał go czempredziej na rynek, między ludzi; bo w tłumie, powiadał, tracą moc wszelką — nie tylko duch czelczy, ale i duchy zaświata: wszelkie zmory, zwidzenia i przecucia.

Na rynku wreszcie, — rozprasał mu uwagę jak choremu dziecku, — rychlej niżli w ulic pustte odszukać się da jaki krewny lub powinowaty, za którym wszak oglądają się wciąż pilnie po mieście.

Oto idzie wraz naprzeciw, nich pan bardzo pysznie przystrojony, o tuszy i minie wielce potężnej; mieszek jak wór kolebie mu się u pasa... — Gdybyż to był krewny jaki!

Przytakuje rycerz tym razem. Istotnie familiant to jego bliski, konia mu nawet winien od dawna, ale prosić go o nic nie będzie. „Rycerzem błędnym dawniej był — i osiadł”; — powiada z pogardą dla niego. — „I oto jak utył w dostatkach!”

„Na cóż by nam, panie, przydał się tu chudopacholek jaki?”

„Nie chcę go znać!”

Goliard machnął ręką w zniechęceniu ostatniem:

„Widzę, my w tem mieście pożyczki nie znajdziemy wcale!”

Wydostali się niebawem w ludu zgłębliwość odpustową i śpiewne obwoływania się kupców. Najwięcej jednak gwaru i ścisku rozbrzęca się w długim ulu sukiennic.

I tu jakbyś w tęczę wstąpił: mrużą się powieki przed kramów barwistością i weselą oczy. A kupcy z nad ław swoich napędzają chęci:

„Piękne czółka, pasy i cizmy sprzedaję! — Mieszki, wacki i jałmużnice! — Alcbanty dumne na kobiet piersi!”

Skróś tłumu przepędza baba szkapinę objuczoną i zanosi się wołaniem:

„Świece z wosku płomieniste wiozę. Świece! A każda ci nocą jak ta gwiazda betlejemska zapłoniel!”

Zgoła, tumult wrzasków czyni się naokół. A niech ścichną na chwilę te głosy, rozlegają się pomruki czarnych mnichów:

„Chleba! Dla dominikanów chleba!”

I wtórzą temu dzwonki ich torb.

To rojenie się tłumów nie z popłochu, a w bezpiecznem zażywaniu targów, zaciekawilo oczy goliarda. A niech się w tłumie oczy rozciekawia trochę, wraz i zgłęb przagnień w człeku się budzi, niczem w skupnia duszy, oraz ta niecierpliwłość chęci, — jak to w ludzkim roju.

Oto wprost na niego idzie dziewczka strojna; nuruje w rzecze ludu, jak ta rybka w kolorach godowych. Ledwie ją zoczył, już mu powabniejsza w oczy skacze: strojem głowy wabliwym kolebie się nad falą tłumu, niczem ważka ulotna. Bo niedługo się jej napatrzył, już zdmuchnęła, — darmo szukać w ciżbie.

Pomykają się w pstrm tłumowisku i mniszki pod włosienicą i kapturem, ni to kupy popiołu ruchome. Drepczą po dwie, po trzy, — szarego stada rozbiegane kurki. Ledwo gdzie za grosik łaskawy pana Boga pochwała, głuszy je wnet głos kupca z za kramu:

„Atlasy pawiobarwne mam! Jedwabie, szkarłaty i purpury na stroje kobiet pięknych! A która ma skórę tak rozpieszczoną, że i jedwab sam dla niej za gruby, dla tej mam bisior najpieściwszy, tkany przez robaki Salamandry w czeluściach gór ognistych. Ognia ciału przydaje giezłeczko takie, — wiedziel!. Poszukaj sobie każda kogo, ktoć to kupi, a ja sprzedam”.

Z różańcową kostką w palcach przepychały się mniszki czempredzej w dal, by nie zmylić porządku pacierzy.

Mrowi się w okół lud wszelaki. Nierzadko ujrzyś człeka z liściem palmowym na baranicy i z muszlami na kołpaku, na znak że z Ziemi Świętej idzie. Ci, chociaż żebrem bogobojnym tu się snują, odbijają przecie od się ciekawość ludzką, — jak zwierciadła — na towary kramów, jako na dziwy równie zamorskie.

Wystawa przed kramami i mnich bury z licem jakby w omocie ciszy klasztornej.

„Jałmużny! — zawodzi. — Dla braci franciszkanów jałmużny!”

Nie poskapią datku i kupce. A brata dziękowanie, chocia skromne, ma w sobie refektarza echo i mniszych odczytywań ton. Więc nad zgłębkiem sukiennic rozlegnie się gromko, a sennie:

„Niech wam stokroć wynagrodzi Pulcherya, cesarzowa święta, i Melania — jałmużnictwa patronkil.”

I kołacze dalej chodakami, podzwania skarbonką kwestarza.

„Jałmużny! — Dla braci...”

Aż się ocknie na widok obrazu, który kupiec za chorągiew u swego kramu wywiesił: — pod wachlarzowem drzewem dźwiga etiopus białe kły cukru.

I zapamiętał się mnich nagle, zaroił o Zamorzu:

„Tam ptaki rajskie śpiewają Alleluja srebrnym chórem! Tam cukier z drzew tryska, jak woda z możeszowej skały! Snują się tam etiopusy czarne, jak ten mag Baltazar. A dziwokształne bestiae ultramarinae, w podobieństwo tronów wędrujących, kołyszają królów majestaty w przepychach złota i purpury!.. Wszystko tam jest cudowniejsze, dla bliskości Jezusowego grobu. Pójsz w oną Ziemię Świętą! rozszerzyć duszę pobożnością, wypełnić ją światłem!”

Baśni zonglera w piekarni nasłuchal się było mnich przypadkiem — i rozkołysał duszę. Towarów po kramach napatrzył się brat — i zataknął w światy. Światy zwoją w jukach swoich kupce na odpusty;



teśknoty wagantów nagarniają w dusz cisze kupce, i żonglery.

Wabiła tymczasem ku sobie obrażna chorągiew kupca coraz to więcej ciekawego ludu. Ni to mirry i kadzidel zawiewem buchały z kramu wonności korzenne: rogoże i wory otwarte ziały żarkim dechem krain zamorskich. I zwieszał się nad tem okręt zdziałany w kształt maleńki. — Wśród worów stał kupiec, białą chustą cały wraz z głową omotany i wyzierający z tej bieli gębą w brąz. Niemym gestem cudzoziemca wskazywał skupniom wszystkie zasoby towarów swoich: kły cukru po jukach, krupy pieprzu w pęcherzach, oliwki, cynamonu szczapy, imbiry, aleosy, limonie i gwoździki o woni olejistej.

Ale ze wszystkich korzenności największe dla kobiet delectabiles są, wiadomo, rodzynki. Nasypał tedy kupiec garść onych sobie na dłoń i błysnął okiem: któraby ich zakosztować rada.

Wysunęła się naprzód dziewczyna z rozlecztanem uśmieszkami licem, pod wiankiem róż na czepeczku białym. I dziobać mu jęły miedzianą łapę te paluszki ledwie wychylone z rękawu cieśni. Białkami wyiskrzyło się nagle ku niej wejrzenie obcego kupca. Głuchym jak u zwierza pomrukiem chwalił sobie maur dziewczyny urodę.

Lecz jej oczy odkryły oto w tłumie wspaniały płaszcz i strój rycerza, przechodzącego opodal z goliardem. Zdziwiona, z rodzyńką niepołknietą w wargach, zapatrzyła się w strojnego pana z takim zachwytem, że te oczy jej żywe krzyknęły nieomal: „Lancelot chyba sam?!“

Z piekarni wracała dziewczyna, baśni żonglera nasłuchiwała się tam.

Nagle zatrzepocze się spódnicą szeroką i, w wachlarz rozciągnąwszy ją po bokach, wionie z szelestem za towarzyszą ujrzaną. Dopieroż się nacieszą, naśmieją w pogwarkach, poprawiając sobie wzajem coś koło tych czepeczków i wianków różanych. Niby to sobą tak się radują, a wszystkie śmiechów gamy, te pogwarki i sekrety szeptane sobie na ucho, czynią, bezwiednie może, dla rycerza opodal, — jak to dziewczęta.

Lecz oto poza sobą usłyszą nagle głos donośny: „Kamienie najszlachetniejsze z za morza wiozę! Skarbce Trebizondy takich nie mają! Piękniejszych nie widziały sultanki!“

Furkną do kramu jednym zaszumem, jak gdyby tam proso sypano dla takich ptaków.

Stoi za ławą chłop w aksamitach i w srebrzystym zawoju na głowie. Broda jego, o czarności nad aksamity głębszej, błyska opalami wplecionych w nią pereł. Włochate i tłuste dłonie, splecione na brzuchu, obciążają mu pierścienie na wszystkich palcach. — Podej-

muje turkusowy naszyjnik z srebrnych nici zmotany i tak prawi do dziewczyn:

„Z smagłej to piersi księżniczki saraceńskiej, zmarłej z tęsknoty do chrześcijańskiego rycerza. Papież zaślubić jej nie pozwolił. Przedam, gdy poprosicie, choć dla mieszczek za pyszne to stroje. Mam za to dla was bursztyny w tych misach. Tu zaś korale z głębi mórz potworom wydarte: w gałach, paciurach i rososkach całych“.

„Gdyby pożyczka już była!..“ — westchnął ktoś nagle w tłumie.

Obejrzały się na goliarda.

„Ba!..“ — odmie się wzgardliwość na usteczkach dziewczyny i frunie, rzekniesz, bańka mydlaną ku górze.

Pogonily tę bańkę oczy poety, zapatrzyły się w jej tęcze.

„Królom-by zamki dla takiej kobiety budować!“

Kupiec tymczasem, dłoń swą niczem biskup ludziom przed oczy wystawia:

„W onych kamieniach, — rzecze, — mam niektóre o mocy tak skutecznej, że nie radzęć nosić, gdy masz chęci mdle: wielka moc obciąża serce wątłe... Szafir to, — mówił, dając ludziom na pokaz uklejnocoony mały palec swej ręki. — Za morzem przytrafia się, że wraz z rosą z najczystsze go nieba szafir spada: stąd za nadzieję w pierścieniach noszony, truciznom wszystkim sporny, od jadu zawiści ochraniać. — Sardonik zaś ten cielisty, kobiety uległymi mi czyni. Ten ci gnów jest Sardes, tajemnic stróż. Na wskazującym palcu Szmaragd mam: najgłębszego blasku nabiera między piersiami kobiety, skąd miłość mężczyzn zbyt pożądliwą zbawienie chłodzi; a rozpryskuje się sam, gdy kochanek zdradę pełni. — Tu zaś jest, — kończył, postukując uwłószonym pazurem wielkiego palca, — tu zaś jest krwawnik, kamieni król! Dziś już go ziemia wcale nie wydaje; niegdyś przytrafiał się jako dyament biały; przetrwały tak niektóre w rzadkości wielkiej“.

Tu już goliard nie wytrzymał dłużej. I, wzięwszy w siebie ton tego kupca, prawił dalej — dziewczynie, do której docisnął się już było tymczasem:

„Inne zaś krwawniki dostąpiły swej barwy królewskiej na piersiach takich jak ty kobiet, kędy się purpurą ich żył zabarwiły chyba? Lub, w płomienistych, jak twoje, włosach noszone, takich pań myślami rozgorzały niegdyś? Lubo, nakoniec, zdobiąc takie jak twoje palce, czyniły z onych rąk kobiecych płomieniste różgi miłowania i zazdrości. W takich rękach i kamień najtwardszy, a przezczysty jak dyament, przekrwawiłby się chyba i rozgorzał na rubin!.. Użala się przecie tą białą prorok Ezechiel sam: — Dałem manele na ręce twoje, a łańcuch koło szyje

twojej i wieniec klejnotny na głowę twoją. I ozdobiłem cię złotem i srebrem, i oblokłem cię w bisior i w szatę wzorzystą i w rozmaite farby..."

A mówiąc to, czynił goliard mimowoli takie ruchy rękoma, jak gdyby w te drogocенności wszystkie przyoblekał ją oto — w wielkiej szczodroblowości poety.

„Ba..!“ prysło, niby druga bańka mydlana, na wzdętych usteczkach dziewczyny.

Goliard tymczasem, jak gdyby już ją przystroiwszy, ramiona na piersi krzyżował i w tył się nieco odchyłał, dla przyjrzenia się uklejnoceniu temu:

„...I stałaś się piękną bardzo wielce, — byłaś doskonała w ozdobności mojej!..“

„Baa..!“ — uderzyła ku górze trzecia bańka mydlana, — nie wzgardliwie przecie tym razem, lecz w smęcie, lecz w żalu...

On zaś przychyłał się do jej ucha:

„...A ufając w piękności twojej... wystawiałaś się każdemu mijającemu...: — przepowiada prorok nawet sam! — Takie to z klejnotów wasze szczęście i niedola nasza“.

Niepokój roziskrzył się w wymownych oczach dziewczyny: „Niesamowity człek jakiś!“ Alic druga w bok ją trącała; skrzyżowały ze sobą pytające spojrzenia i — dziewczęta bystre — odgadły wraz wszystko. Jedna za szję towarzysząc objęła, przychyłając do się główki w tych czepeczkach ukwieconych, prosząc przymilnem wyciągnięciem szyi... by wędrowny poeta prawil im dalej — o krwawniku, o rubinie!

Ale kupiec tymczasem, skończywszy swoje, zachęcał pośpiesznie do targów.

Na czerwonych twarzach żonek mieszczańskich wyszklily się rumieńce próżności, a w oczach aż łzawie rozblęła chciwość. Każda zdała się sobie duchem aż nazbyt krzepka, byle tylko to złoto, to srebro, te drogocенności klejnotów — mieć, a mieć!..

Goliard inaczej rozumiał — za dziewczęta — klejnotowe szczęście kobiet, nie wiedząc już nawet, że głośno wypowiada te odczucia swe za nie:

„Byle tylko to łaskotanie czarodziejskich mocy życia na młodem i prężnem ciełe czuć!.. A w te skry i ognie klejnotów na nieosłoniętych powabach strojna, stanąć w nagości jawnej przed króla samego obliczem: jak ta Sara nieplodna przed Abimelechem, jak Bethsabee przed Dawidem!..“

Pierwszym odruchem trwożnego instynktu cofnęły się o krok dziewczęta. Lecz zaokrągliły im się oto oczy, oddech stał się krótki i rozchyłał im usta na te dziwy... jak to wędrowny poeta prawil im snadź dalej — o krwawniku, o rubinie!..

A goliardowi zdało się, że te dwa krzewy różane w powojowym splocie wychylają ku niemu swe roz-

kwiecone główki. Tak różę pod rosy owiewem piękniejsze się stają, jakby w zadumaniu swej kraszy — nad własnych woni i barw dostałością.

Nad tem bodaj zadumały się w tej chwili dziewczęta.

Prawdę powiadał poeta! ileż to razy przynosząc z grodu tyłu oczu ludzkich zachwyty, roily nad tem, by księcia lub króla zachwytem owładnąć: miłość, skarby i dzierżstwo razem wziąć, — jak tamte panie z Pisma. Lub bodaj co dzień w tryumfach je zdobywać, — jak pani Aspazia, jak pani Tais, o których prawią opowieści mówione.

Świata i życia wielkie obietnice wabią ze wszystkich kramów na odpuscie. Użycia tęsknicie nagarniają w dusz cisze kupce i poety.

Mieszczanie tymczasem chmurzyli się u kramów, spozierając z pode łba na uklejnoczone pazury obcego czleka, czy tu aby duszy swej w niebezpieczeństwo nie wiodą. Aliści już ich siadły żony, uwisając u ramion i trzosów. Wszczyła się tedy targi. A choć się rzecz przez mężczyzn w powadze czyniła, hichotały kobiety, — nie radością przecie, nie życia ochoczością nawet, lecz chciwości samej podlehtaniem.

Gdy w te szwargoty targów u kramu uderzy nagle ba organowy:

„Chle — ba!.. Dla dominikanów chleba!..“

Daremnie klekotał naprzykrzony dzwonek torby, daremnie mnich czekał, żebrał i Pana Boga chwalił. Wreszcie, zgorszony ludzi skąpstwem, łóckiami przepchał się do kramu. Przyjrawszy się bącznie kupcowi, gorszy się jeszcze bardziej i ramieniem a palcem sprężonym, ni to włócznią, wprost w jego oczy mierzy:

„A rańtuć twój zółty z ramion — gdzie?!.. Myślisz, nie poznając ludzie, coś za jeden, po grzechów twoich smrodzie, Lewito?!.. Włóchatami łapami w klejnotach czarować tu przyszłeś chrześcijan jak ropuchami?!..“

Zadał mnich głowę do góry, poziomo wystawia się ta jego broda miedziana u szyi:

„Cieszcie się djablowie, którzy nad tym kramem unosić się chmarą. Babilonia się czyni. Nie nakarmiliście djaby grzechu kobiecego miodem i patoką wszystką, nie nasyciliście żarłoczności jego wszeteczeństwem i brzydliwością ziemi, owo kamienie klejnotne lykać mu dajecie, aby się zatwardziły serca kobiet, a razem serca mężów i miłośników ich... Huu! jak się cieszą djaby, jak pływają kołem, zczepiwszy się ogonami!..“

„Nie bacząc nawet, nad czyją to głową najrażniej wyskakują,“ — mówił wodząc surowem okiem po ludziach i zatrzymując mimowoli spojrzenie na onje

dziewczynie z wiankiem róż w czepca. — „Nie bacz nad czyją tą głową... (powtarzały mu się słowa, zmylone jej urodą)... Nie baczę wcale! Ale temu może na dzisiejszą jeszcze noc śmierć się tym znakiem wróży. Nie mam zmiłowania! Niech idzie, niech idzie na sąd ostateczny z szkaradą skapatwa swego na ziemi i tym najczarniejszym grzechem Babilonii, którym i djabeł niejedną paskudzić się nie raczy... A owoż to! owoż wam kobiety za poły mnie teraz targać i szczytać w ramiona: jaki grzech to? jakie jego nazwanie? Wam i do skruchy przez ciekawość! Wam i do nieba przez nią droga! Wam i lęk piekła jeszcze ciekawością z oczu płacze! Nie powiem. Nie nazwę. Abym onych nad waszemi głowami nie ucieszył za nadto. Odstąpiecie! — Satis, skończyłem, amen... Chle — ba! — dla dominikanów chleba!”

Zcmyły się kobietom rozblaski cudownych kamieni: nazbyt gburnie zgasił im je mnich. A i królewskie w rojeniach nałożnice, księżne panie dumne w klejnotów tęczy stały oto za służki skomliwe, głoszące z lękiem rękawy zagniewanego mnicha.

Opodal tymczasem innym niepokojem zarojły się tłumy: za chłopcem kościelnym wstępował oto w sukiennice śmierci obwoływacz. Kroczył wolno, posuwał się ni to słup czarny, a z pod czarnej larwy, rozciętej przed licem w ramiona krzyża, obwieszczał swe codzienne wieści krucze. Pobrzękiwał przed nim raz po raz cichy dzwonek śmierci. Szła ta zmosfera w najgęstsze ciżby ludzkie tym niesamowitym spokojem kroku, który i mury chyba przeniknie.

I obwołuje się głucho:

„Ja Radocha, grzesznica, ludziom nazbyt miła, zmarłam tej nocy w przepychu i bogactwie sprośnym, w całego dobytku kościołowi darowaniu, a w grzechów nieodpokutowanych żalu. Wymódlcie duszę z czyścowej udręki, wyzwołcie jałmużny! O groź żębrze, o pacierz proszę!”

Podstawiał chłopiec swą torbę jałmużniczą, uderzał w dzwonek i wiódł dalej śmierci obwoływacza. Z ciszy, jaką zostawiali za sobą, zrywało się za nimi gromadne szepitanie pacierza jak wiatru zaszumienie.

Oto tuż u kramu klejnotów jęknie po raz wtóry z za kiru śmierci:

„...Wymódlcie duszę z czyścowej udręki, wyzwołcie jałmużny!”

Ale dominikanin uprzedził kościelnego chłopca i, swą tu torbę podsunąwszy czempredzej, w nią zgarnął datki pobożne.

Bo z rąk kobiet u kramu opadały teraz same zakupione naszyjniki, pierścienie manele i, kamienie zdobne, opaski biodrowe. Za tę żon jałmużną, nazbyt już szczerą dla duszy w czyściu tak lichęj, a rzuconą nadomiar nie do właściwej torby, otrzymałby mnich

niejeden przydatek męzowskiego kulaka, — gdyby nie nagłe zatrzępnięcie się tamtej dziewczyny z wiankiem róż na czepcu.

„Ja nie chcę tej nocy umierać!” — wybuchnie przeraźliwym płaczem.

Już nie modre źrenice, a białka same przelewają się w jej oczach. Za chwilę coś tężyć jej piersi poczyna, a zło jakieś miąć i wykrzywiać twarz we łzach i pocie całą. Zdarł się czepiec z wiankiem róż, dziko wywichrzył się z pod niego włos hebanowy. A ręce tak się miotają i siepać na wsze strony jęły, że pękają oto w podłóż wąskie rękawy, obnażając całą cielistość ramion.

Nagle oprzytomnieje zaszlochom, rzewnym jak przy matce. I rzuci się mnichowi do nóg:

„Djabłów przepędź, ojcie kaznodziejul.. Przepędź szatanów z nad głowy!”

Piskiem trwogi okrzykną je mieszczki u kramu i rozpierzną się, rozfruną na wsze strony, niczem gdy jastrzab na stado złata.

„Ja chcę żyć!” — lka dziewczyna płaczem, który i śmierć samą wzruszyłyby zdołał. — „Żyć!...”

Tkliwemi rączkami zatula bosą w łapciu stopę mnicha. — „Żyć!...”

Sięgnął mnich do swej kieszeni przepaścistej po dzwonek świętego Antoniego na złych duchów przepłaszanie i odzwania długa, na wsze strony powalę sukiennice.

Poczem dźwignie dziewczynę z nad swej stopy, uspokoi, życie i szczęście przyobieca. Czepeczek każe podjąć z wianuszkiem. I powlecze ją za sobą, bardziej teraz międziana brodą podzwaniając, niśli torbą kwestarszą.

„Bodajęś!” — sklął go w myślach niejeden, z przyczyny onych ramion dziewczki, osobiście gładkich.

Szybko iszczą się zazwyczaj marzenia kobiet pięknych. Oto klejnotami z torby mnich ją pewnie przystroi za sultanę. Od stóp do głowy przyozdobi dla się jej ciało, jak ten Abimelech Sarę nieplodną.

Przysposobił jej duszę ku temu poeta.

Goliard zdał się jak ta kokosz, gdy jej kania piskłę z pod skrzydła nieomal porwie. Wówczas kura łeb jakoś bokiem przechyla, jednym okiem wierzając ku górze, — żalosna bardzo w tej desperacji swojej z ciekawością razem.

A rycerz natrząsa się oto nad nim pełnem pogardy kiwaniem głowy. W roztargnieniu chwili nie pojmował goliard, co właściwie wyrzucają mu tak ponuro. A przypominając ledwie przez pół wszystko, co przedtem było, domyśla się, że to pewnie zapomnienie za opieszalność w przedsięwzięciach wyższych. I surowe wezwanie do graalowego szukania.

„Już idę!”

Zawijał się szczerlnie w płaszcz.



## KSIEŻYC PRZYBIERAJĄCY.

RABINDRANATH TAGORE.  
Z ANGIOLESKIEGO PRZEKLADU AUTORA SPOLSKICZYŁ  
JAN KASPROWICZ.

### BOHATER.

Matusiu, wyobraź sobie, że podróżujemy i przebywamy obcy i niebezpieczny kraj.

Ty podróżujesz w palankinie, a ja obok ciebie jadę truchtem na gniadoszu.

Mamy wieczór i słońce zachodzi. Pustynia Joradighi leży biała i szara przed nami. Kraj opuszczony i wyschnięty.

Tyś przerażona i myślisz: „Nie wiem, dokąd przybyliśmy.”  
A ja ci mówię: „Nie bój się, matko.”

Łąka ostrą jeży się trawą, a wśród niej wązka, nierówna wije się ścieżka.

Ani jednego stada nie widać na rozległym polu, odeszło do wsi, do obór.

Robi się ciemno i pośepno na niebie i my nie możemy powiedzieć, dokąd zdążamy.

Nagle mnie wołasz i pytasz szeptem: „Cóż to za światło tam u wybrzeża?”

\* \* \*

W tej samej chwili straszliwy rozlega się krzyk i jakieś postaci pędzą naprzeciw nam.

Ty siedzisz skulona w palankinie i modlisz się i powtarzasz imiona bogów.

Tragarze, drżąc z przerażenia, kryją się w krzakach głogu.  
Ja wołam: „Nie bój się, matusiu, ja tutaj jestem!”

\* \* \*

Z długimi kijami w ręku i z całkiem rozczochranym włosom na głowie, przychodzą coraz to bliżej i bliżej.

Ja wołam: „Miejcie się na baczności, wy łotry! Jeszcze krok, a wszyscy zginiecie!”

Raz jeszcze wydają okrzyk straszliwy i pędzą naprzód.

Chwytasz mnie za rękę i mówisz: „Chłopcze drogi, na nieba, uciekaj-że od nich!”

Ja mówię: „Matusiu! uważaj-że tylko na mnie!”

Potem spinam konia ostrogami do dzikiego galopu, a miecz mój i tarcza odbijają się o siebie z pobrząkiem.

Walka staje się tak straszna, matusiu, że zimny dreszcz by cię przejął, gdybyś mogła ją widzieć z swych noszy.

Wielu z nich ucieka, a wielką ich liczbę posiekałem na kęsy. Wiem, zgubiona w sobie myślisz, że chłopiec twój przestał żyć już tej chwili.

Ale ja wracam do ciebie, od stóp do głów powalany krwią i mówię: „Po całej już walce, matusiu!”

Wychodzisz i całujesz mnie, przyciskasz mnie do piersi i mówisz do siebie:

„Nie wiem, co byłabym zrobiła, gdyby mi nie towarzyszył mój chłopiec.”

Tysiąc niepotrzebnych rzeczy dzieje się dzień po dniu, czemużby taka rzecz nie miała się zdarzyć na prawdę?

Byłoby to jak jaka opowieść w książce.

Brat mój powiedziałby: „Czyż to być może? Zawsze myślałem, że taki jest delikatny!”

Wszyscy ludzie z naszej wsi powiedzieliby zdumieni: „Nie byłoby to szczęście, że chłopiec był razem z matką?”

## KONIEC.

Czas na mnie iść, matusiu; odchodzę.

Gdy o bladym mroku samotnego świtu wyciągniesz ramiona ku dziecku swemu w łóżeczku, ja powiem: „Niema tu dziecka!” — Matusiu, odchodzę.

Staną się delikatnym powiewem i pieścić cię będę — stanę się krążkiem na wodzie, gdy ty kąpać się będziesz, i całować cię będę, całować.

Burzliwą nocą, gdy deszcz szeleści wśród liści, ty szept mój usłyszysz w swem łóżku, a śmiech mój błysnie razem z błyskawicą poprzez otwarte okno w twą izbę.

Gdy leżeć będziesz, czuwając, i o dziecku twem do późnej myśleć nocy, ja śpiewać ci będę z gwiazd: „Śpij, matusiu, śpij!”

Na błędnych promieniach księżycy skradać się będę do twego łóżka i podczas, gdy śpisz, leżeć u twego łona.

Staną się snem i poprzez maleńki otwór twych powiek wciśnę się w głąb twego uśpienia, a gdy się obudzisz i rozglądniesz się w okół strwożona, jak migotliwy owad świecący odlecę w ciemności.

Gdy w wielkie święto *Puji*<sup>1)</sup> zgromadzą się dzieci sąsiadów i bawić się będą w naszym domu, zmieszam się z muzyką fletni i kołatać będę w twem sercu dzień cały.

Droga ciotunia z świętecznemi przyjdzie podarkami i zapyta: „Gdzie nasze dzieciątko, siostrze?”

Matusiu, odpowiesz jej po cichutku: „Jest w źrenicach mych oczu, jest w mojem ciele i duszy”.

<sup>1)</sup> Puja — tutaj Durzapuja lub Navaratra, uroczystość „dziewięciu świętych nocy” obchodzona w czerwcu i październiku na pamiątkę zwycięstwa Durgi, żony Skawy, odniesionego nad jednym z złych demonów.

### WEZWANIE DO POWROTU.

Noc była ciemna, gdy ona odeszła, a ci spali.

Noc jest teraz ciemna, a ja ją wołam: „Wróć się, kochanie; świat pograżony we śnie i niktby nie wiedział, jeśliś przyszła na chwilę, gdy gwiazdy spoglądają ku gwiazdom“.

Odeszła, gdy drzewa stały w pąkowiach, a wiosna była młoda.

Teraz kwiaty w pełnym rozkwicie i ja wołam: „Wróć się, kochanie. Dzieci zbierają kwiaty i rozrzucają w beztroskiej zabawie. Jeśliś przyszła: wzięła *jeden* kwiateczek, niktby braku jego nie odczuł“.

Te, co się wówczas bawiły, bawią się dotąd, tak rozrzutnem jest życie.

Słucham ich gaworzenia i wołam: „Wróć się, kochanie; albowiem serce matki przelewa się miłością, a jeśliś przyszła porwać jej jeden jedyny całunek, niktby ci go nie pozazdrościł“.

### PIERWSZE JAŚMINY.

Ach! te jaśminy, te białe jaśminy!

Zda mi się, że jest to pierwszy ów dzień, gdy nappełnił swe dłonie temi jaśminami, temi białymi jaśminami.

Kochałem słońce, niebo i ziemię zieloną.

Słuchałem sączącego szmeru rzeki wśród mroków północy.

Jesienne zachody słońca jawiły mi się na skrócie drogi w samotnej pustyni, jak oblubienica, podnosząca welon na powitanie oblubieńca.

A przecież pamięć moja słodka jest dotychczas od pierwszych białych jaśminów, które trzymałem w rękę, kiedy byłem dzieckiem.

Niejeden dzień radosny jawił się w mem życiu i ja śmiałem się z wesołkami w noce świąteczne.

W szare poranki deszczowe niejedną piosenkę mruczyłem po próżnicy.

Na szyi-m nosił wieniec wieczorny, spleciony ręką miłości.

A przecież serce me słodkie jest od wspomnienia tych pierwszych świeżych jaśminów, którymi nappełniałem dłonie, kiedy byłem dzieckiem.

### DRZEWO FIGOWE.

O ty zmirzwionogłowe drzewo figi, stojące nad brzegiem stawu, czy zapomniał o małym chłopczyku, jak o ptakach, co gnieździły się w twoich gałęziach i precz uleciały od ciebie?

Czy nie pamiętasz, jak siedział przy oknie i zdumiewał się nad skrętami twoich korzeni, zanurzających się w ziemię?

Kobiety przychodziły nappełniać konwie wodą ze stawu, a twój ogromny czarny pień przeciągał się nad wodą, jak sen, gdy usiłuje się zbudzić.

Światło słoneczne tańczyło na wirach, jak niespokojne czołenko, złocista mające makatę.

Dwie kaczkę płynęły nad swymi cieniami brzegiem zarosłym, a chłopiec siedział cicho i dumał.

Pragnął być wiatrem i wiać wśród twoich szeleszczących gałęzi,  
chciał być twym cieniem i razem z dniem przedłużać się na wodzie,  
chciał być ptakiem i siadywać na najwyższym twoim wierzchołku i płynąć  
jak one kaczki pośród zarośli i cieni.

### BŁOGOSŁAWIENSTWO.

Błogosław to serduszek, tę białą duszę, która pocałunek niebios  
zdobyła dla naszej ziemi.

On kocha światło słońca, kocha widok oblicza matki.  
Nie nauczył się gardzić pyłem i uganiać się za złotem.  
Przytul go do serca i błogosław.

\* \* \*

Przyszedł do tego kraju stu dróg krzyżowych.  
Nie wiem, dla czego ciebie wyróżnił z tłumu, dla czego przy-  
szedł do wrót twych i chwycił twą rękę, aby zapytać się o swą drogę.  
Pójdzie za tobą, śmiejąc się i szczebiocąc i bez wątpliwości w sercu.  
Przyjmij tę ufność, prowadź go ku dobremu i błogosław.

\* \* \*

Położ dłoń na jego głowie i módl się, ażeby, choć dołem groźne  
rosną fale, z góry przyplynał powiew i nadął jego żagle i poniósł go  
do przystani pokoju.

Nie zapominaj o nim w swych zabieganiach, przypuść go do swego  
serca i błogosław.

### PODAREK.

Chciałbym ci coś podarować, me dziecko, albowiem porywa nas  
strumień świata.

Życia nasze rozejdą się z sobą, i miłość nasza pójdzie w niepamięć.

Lecz ja nie jestem tak bezrozumny, abym żywił nadzieję, że serce  
twe mógłbym sobie kupić darami.

Młode jest twoje życie, droga twa długa, i ty jednym haustem  
wypijesz miłość, którą ci przynosimy, odwrócisz się i precz pójdziesz od nas.

Masz swe zabawy i towarzyszków zabaw. Cóż z tego, że nie  
masz dla nas czasu ni myśli.

My mamy, zaiste, dość wczasu w tych naszych latach, ażeby  
liczyć dni, co minęły i pieścić w sercach naszych to, co ręce nasze  
utraciły na zawsze.

Rzeka szybko pędzi, śpiewając i wszelkie rozbijając przeszkody.  
Atoli góra stoi i przypomina sobie i towarzyszy jej swą miłością.

### MOJA PIEŚŃ.

Pieśń moja owinie cię swoją muzyką, me dziecko, jak czułe ramiona  
miłości.

Pieśń ta dotknie się twego czoła, jak pocałunek błogosławieństwa.

Gdy będziesz samo, siadywać będzie u twego boku i szeptać  
ci do uszu; gdy będziesz w tłumie, odosobni cię swoją bliskością.

Pieśń moja będzie parą skrzydeł, danych twym snom, poniesie  
twe serce ku granicy nieznanego.

Wierną będzie gwiazdą nad twoją głową, gdy noc ponura zalegnie  
twoją drogę.

Pieśń moja siadywać będzie w źrenicach twych oczu i wzrok  
twoj powie dzie ku sercu rzeczy.

A gdy głos mój zamilknie w śmierci, pieśń moja przemawiać  
będzie do żyjącego twego serca.

#### ANIOL.

Krzyczą i walczą, wąpią i rozpaczają, nie znają końca swych waśni.

Niech życie twoje wkroczy pomiędzy nich jak płomień światła,  
me dziecię, nie migocący a czysty i porwie ich do milczenia.

Straszni są w swej pożądliwości i nienawiści, słowa ich są jako  
sztylety ukryte, spragnione krwi.

Idź i stań wśród serc ich zawistnych, me dziecię, i niech łagodne  
oczy twe padają na nie jak przebaczący spokój wieczoru nad walką dnia.

Niech widzą twoje oblicze, me dziecię, i poznają w ten sposób  
jądro wszechrzeczy, niech ukochają ciebie i w ten sposób ukochają  
wzajemnie i siebie.

Chodź i zamieszkać w łonie nieskończoności, me dziecię. Ze wscho-  
dem słońca otwórz i podnieś swe serce, jak kwiat rozkwitły, a o zachodzie  
pochyl głowę i w milczeniu dopełnij modlitwę dnia.

#### OSTATNIA UMOWA.

„Chodź i zgódź mnie!” krzychałem, idąc rano brukowaną drogą.

Z mieczem w rękę zjawił się król na swym wozie.

Rękę mą trzymał i mówił: „Zgodzę cię za mą potęgę.”

Ale potęga jego niczem była dla mnie i odjechał precz na  
swym wozie.

\* \* \*

W upale południa domy stały z zamkniętymi drzwiami.

Szedłem krętą uliczką.

Stary człowiek zjawił się z worem złota..

Pomyślał i rzekł: „Zgodzę cię za me złoto.”

Ważył monety, jedna za drugą, lecz jam się odwrócił.

Był wieczór. Szpaler ogrodowy cały był w kwiatach.

Wyszła urocza dziewczyna i rzekła: „Zgodzę cię za mój uśmiech”.

Uśmiech jej przygasł i stopił się w łzach i odeszła samotna  
w ciemnościach.

Słońce połyskiwało na piasku, upornie łamały się fale morza.

Dziecko bawiło się obok muszlami.

Podniosło głowę, jakby mnie znało, i rzekło: „Zgodzę cię za nic.”

Od chwili tej umowa, pośród dziecięcej zawarta zabawy, uczyniła  
ze mnie wolnego człowieka.

KONIEC.



# O KRYTYCE TWÓRCZEJ.

Krytykę twórczą można porównać do muzycznych wariacji na dany temat. Tematem jest dzieło sztuki, wariacjami sąd krytyka. Nazywano krytykę twórczą rozmaicie. Francuzi określali to jako: „Le chef d'oeuvre vu à travers le tempérament“, albo mówili z lekką ironią: „pozwólcie abym pod pozorem krytyki mówił o sobie“ — było to może najtrafniejszym określeniem.

We wszystkich tych orzeczeniach przebija się jedno: wielka subiektywność tej krytyki. Tam, gdzie na mocy ustalonych danych, na mocy faktów wiadomych i dostępnych wszystkim, mówimy o dziele sztuki, tam twórczości nie potrzeba prawie.

Krytyka tego rodzaju ma swoje odrębne zalety, ale nie należy do krytyki twórczej.

Natomiast tam, gdzie dzieło sztuki jest niejako wrażeniem, potężnym wzruszeniem, pod wpływem którego krytyk wpada w zapał i zaczyna tworzyć, tam powstaje krytyka twórcza.

Dzieło malarskie wzbudzało nieraz w poetach natchnione krytyki, muzyka lub rzeźba opiewana była narówni z utworami literackimi przez literatów.

Czasami dzieło sztuki wzbudza uczucia dotyczące zgoła innej dziedziny i powstaje krytyka symboliczna, w której na pozór nie mówi się o arcydziele, tylko o jego projekcji na umysł poety — o jego cieniu, który rzucił na duszę krytyka. Jeżeli ktoś opowiadając o życiu człowieka, użyje porównania choćby z drzewem lub kwiatem, i o drzewie tem wyrazi to wszystko, co mu los bohatera na pamięć przywiedzie, to ten prosty symbolizm będzie jedną z form krytyki twórczej.

Mimo rozmaitych za i przeciw twórczej krytyki, należało by zaliczyć ją do najpotężniejszych czynników popularyzujących arcydzieło.

Popularyzujących nie znaczy tu może czyniących dostępnym dla wszystkich, ile raczej zrozumiałem dla niektórych, ukochanem dla nielicznych. — Nic bowiem nie może być bliższem twórczości, jak twórczość inna. Jest to symfonia wyrażana przez melodyę, choćby na skromnym instrumencie wydobyta, która przecie nieskończenie lepiej oddaje istotną wartość symfonii od najwomowniejszych słów.

Muzyką oddawać muzykę — poezją oddawać poezję — malowaniem malarstwo — nazywamy to produkcją — nie krytyką — czemś bliskiem, pokrewnem samemu dziełu zmniejszoną formą owej wielkiej formy.

Otóż twórcza krytyka jako dzieło tej samej kategorii, dzieło powstające w ten sam sposób, wytwó-

ruczyć i zapału jak sam przedmiot krytyki, to dzieło musi być najwierniejszem jego odbiciem, wierniejszem od samej reprodukcji, potężniejszym od powtórzenia melodii.

Mówiono mi raz, że krytyką najlepszą jest odczytanie samego utworu. Zamiast mówić o Hamlecie, pozwólcie nam usłyszeć go samego mówiącem. Czem jest reprodukcya w malarstwie, tem odczytanie utworu w literaturze. A przecież krytyka twórcza może sprawić więcej, może w duszy słuchacza przez umiejętne zestawienie wrażeń, przez wysunięcie na pierwszy plan szczegółów wywołać dokładniejsze zrozumienie, niż samo odczytanie utworu dać może.

Iluż ludzi oglądało Boecklina, może nikomu obrazy jego nie wydały się tem, czem K. Tetmajerowi, który opowiedział o nich rzeczy zgoła nowe i cudne. Parafrazy St. Przybyszewskiego o polonezach Chopina więcej napewno przyczyniły się do zrozumienia niektórych cech jego muzyki, niż gra A. Michałowskiego.

Jeżeli na bankiecie paryskich krytyków trzeźwy i praktyczny minister oświaty jako cel im stawia wyrabianie gustu i krzewienie piękna, to choć cel taki nie nęci krytyka twórcę, jednak zbliża się on do tego celu znacznie więcej swojemi ocenami, niż pracowity erudyta. Cóż bowiem lepiej i potężniej przemówić może o poezji — jak właśnie poezya inna.

Krytyka twórcza powstała razem z poezją. Na pewno w najdawniejszych czasach istotne piękno zmuszało ludzi czułych do wymownego określenia swych uczuć. Na pewno poeci wytwarzali utworami swemi poetyczne sądy. Wszelako nowożytnie czasy dały temu zjawisku formę ściślejszą i nauczyły nas odróżniać rozmaite sposoby krytyki. Pierwsi bracia Goncourtowie nie wahali się wyrazić zdania, że krytyka twórcza lepiej określa arcydzieło od najściślejszych ocen. Z temperamentem sobie właściwym, owi niezmordowani bojownicy o piękno, w krytyce twórczej upatrywali jedyną formę uprawniającą do mówienia o arcydziele. Któż bowiem ma się ośmielić oceniać myśli geniusza, jeżeli nie ten, który bodaj „jedną chwilę górnje przeżywa.“ Wszelako inne jest ubliżeniem. Czyż można wymierzyć talent ilością przeżytych wrażeń, a tem bardziej ilością przeżytych chorób lub podróży? Talent da się tylko odczuć, tylko odczucie może nam o nim dać pojęcie. Zbliżać się do poety należy tylko tym, którzy go kochają. Pisać o rzeczach obojętnych nie wolno. „Pisać należy krwią, wtedy się pojmuje, że słowo jest czynem.“ Pisać należy tylko o rzeczach, które się ukochało, wtedy krytyka będzie zawsze świeża i zawsze twórcza;

nieznośnem jest mówienie o rzeczach, które nas nie obchodzą, natomiast to, co nas wzrusza, mimo woli wywołuje zapal.

Najlepszymi krytykami byli poeci. Najwięksi artyści z konieczności najgłębiej odczuwać musieli piękno innych. Twórczość ich znajdowała tam ów „pozór, aby mówić o sobie“, temperament ich dawał arcydziełu tło i koloryt. Nikt lepiej od nich nie odgadywał, nie odtwarzał tego procesu myślenia, który do stworzenia arcydzieła przywodzi. Nie znaczy to, aby istotnie tak być miało, ale tak być mogło — a gdyby tak było, byłoby wzruszająco i pięknie.

Kiedy Baudelaire mówi o Poem, rozumie się lepiej samego Baudelaire'a — tu leży istota krytyki twórczej. Zmusza ona do wyznania wiary; sąd wyrzeczony o dziele odsłania duszę samego krytyka. — Są krytycy, którzy pragną być sprawozdawcami, boją się wyrazić zdanie, albo raczej wszystko uważają za piękne, o czem piszą; to są dusze pogodne i miłujące. Są inni, którzy kochając walczą — kochając nienawidzą — stworzeni sami do walki na serca i uczucia.

Nieogarnięte jest w szerokości swej dzieło krytyki twórczej. Może arcydzieła same są krytyką życia i wypadków. Może te sądy o nich, sądy geniuszów przybrały wyraz arcydzieł.

Ale jest przecie krytyka inna, codzienna, ta która radzi lub odradza, zaleca lub potępia. I taka może być twórcza, jeżeli w sąd swój wnosi pierwiastki artystyczne. Każdy sąd przecie jest częścią twórczą — mimo to zaliczać ją trzeba do innego rodzaju. Nawet krytyka udokumentowana jest po części twórczą, bo sam wybór faktów, ich zestawienie, odczucie jednych a wysunięcie na czoło drugich wymaga twórczego sądu. Obraz Dantego lub Mahometa stworzony przez Carlyla jest arcydziełem, choć go trzymają jedynie fakty, przez krytyka zestawione w kunsztowne rysy. Chcemy zaznaczyć, że artyzm przejawiać się może w każdej formie krytyki, że jednak twórczą krytyką nazywać mamy to odrębne ocenianie dzieła, które nie treścią interesuje, tylko kolorytem uczucia.

Mniejsza o to, że krytyka twórcza czasami od istoty swej odbiega. Są wysiłki, które nic sprawić nie zdołają, owe podrywanie się gęsi domowych, które naśladować chcą śmiały lot dzikich ptaków; symbolika nieudolna, w której gubi się twórca i błędna kontury arcydzieła — niemniej ta nieudolna próba

będzie krytyką twórczą, choć się do poznania dzieła nie przyczyni.

Chodziło nam o definicyę i zaznaczenie doniosłości takiej krytyki, jej dostojęństwa i odwieczności, jej ogólności i potęgi — nie wątpimy, że obok tych krytyk twórczych istnieją doskonałe, artystycznie wysoko stojące oceny, że są sprawozdania i portrety literackie z odczuciem artystycznym, ze zrozumieniem najdrobniejszych cech talentu, że są oparte na znajomości przedmiotu i dzieła, które zachwycają i nęcą — uczą nietylko pojmować, ale i sądzić uczą. — To są szkoły, w których się kształcić mają ci, których talent uniesie kiedyś do sfer najwyższych. — Ze szczegółów pojętych i odczutyh powstaje nastrój, który tworzy. — Z erudycyi i badań wznosi się ta pięomylna pewność gustu, szybkie odczucie istotnego piękna, owa nienawid do wszystkiego co nie jest najlepsze. — Wtedy powstać musi krytyka twórcza, która nieznanym dotychczas, nieprzewidzianym przez nikogo blaskiem oświecili arcydzieła i da im jakby nowe imię.

Bez wzmianki zostawiamy ową krytykę sekiarską, krytykę, którą się prowadzi z celem innym prócz ocenięcia dzieła, krytykę, w której zacność autora lub jego krewnych odgrywa rolę; krytykę, którą dobrobyt miasta lub wzgląd społeczny paczy; krytykę, która innej miary używa prócz miary piękna, innego czegoś szuka po za pięknem, czy obok piękna — są to rzeczy nie godne wspomnienia. —

Krytyka, która zachęca, krytyka która łąje, krytyka pobłażliwa lub przekonująca, krytyka na dzień powszedni, krytyka dla maluczkich — dla dorastającej młodzieży lub biedniejszych — wszystko to spotyka się czasem — omijane z daleka być winno.

Małe arcydzieła mają swych małych krytyków — Szara literatura, pół banalna, pół przesadna, łatwa i strawna, dostępna i pożyteczna — ma swoich krytyków — godnych obywateli lub członków społeczeństwa — to wszystko zostawiamy na uboczu.

Zanim się krytyka do wyżyn twórczości wespnie — musi po drodze nauczyć się swoistej energii piękna, wytworzyć swoisty zmysł na piękno — wtedy dopiero twórczość przydać się może — wtedy natchną ją może jedynie arcydzieło. Jedna jest bowiem piękność, tysiącna w formie, o nieziennej wiekuistej treści.

DR. WAŁAW MORACZEWSKI.

ROBACZKI ŚWIĘTOJAŃSKIE.<sup>1)</sup>

Czarowna, słodka to była noc.  
Mająca w sobie przedziwną moc.  
Zapadło słońce. Zabłyły gwiazdy.  
Prawdziwa, święta noc Oromazdy.

Bo kwiaty, które w dzień zdobią błoń,  
zdobią noc lepiej, wydając woń.  
Miało by skrzyły się heliotropy,  
pałą się nocą nieb srebrne stropy.

A taki pokój i taki mir  
krągłych przestworów ogarnia wir,  
że słycać, jak się wazą motyle  
i jak gdzieś dzwonią wieczności chwile.

Słycać gwiazd szelest, które się trą  
promiennie jasną światłością swą  
i szumy skrzydeł lekkich anielich  
i drżący rosą srebrny róż kielich.

Na taką wyszedł mnich... Młody był.  
Peten tajemnych radosnych sił,  
które wstawaty w nim tak do życia,  
jak bujne kwiaty z zimy spowicia.

Jako ten jaśmin, ten żywy kierz,  
swą ambrozyjską, swą wonną śnież  
roztańczający z szczęściem, z rozkoszą —  
lilie i róże o woń go proszą.

Swoboda, wolność i przestrzeń hen,  
jawa to czyli uludny sen —  
o jak tu miło, jak źle w klasztorze,  
tu jak w świetlicy, tam jak w komorze.

Nie będę służył, nie będę, nie —  
czy w murach strawić mam życie swe?!

Widzę w powietrzu mknące obrazy —  
z okien widziałem je wiele razy.

Drobne, urocze, ogniste skry,  
w których światelko tęczowe drży,  
nieprzeliczoną lecą gromadą,  
w oczy mi jasność cudowną kładą...

Biegnie — patrzajcie — to tam, to tu,  
goni świetliki, ściga bez tchu — —  
cudowną jasność snąc w niego wkładły —  
oby mu zaraz łuski z ocz spadły!

Oto się gwiazda urwała z gór,  
mętną miesięczność wlała skroś chmur:  
dziwnym oblaskiem świat cały wzbiera,  
a w tym oblasku blask Lucypera.

Wnet kwiaty łączne i cichy las  
szatą się złotych odziały kras  
i wszystkie góry i wszystkie wody  
wzięły pozory dziwnej urody.

W toniach jeziora, w przepaści wód,  
nieogarnionych tajemnic wbród —  
raz wraz się jakaś postać zabieli  
i pluska śniegiem po pian tapieli...

Ulewa, potop, szal, radość, grad,  
uścisków, złąceń, mdleń, westchnień świat,  
czar, lubość, rozkosz, żar, szczęście, miłość,  
woń, win przelewność, stód i opiość — —

Mnich patrzył, patrzył... Trzymał go brzeg  
i wodospady płynące rzek  
i fal bełkoty ciche, złowieszcze,  
wir wodotrysków i kaskad deszcze.

Lampy ponocne, czerwczyków rój,  
przed okiem żar mu nieciły swój  
i okręwały w miękkich zakrętach  
jakieś figury w wód elementach —

Brzoza w zaplocie i w bieli szat  
i dąb sędziwy, omszały swat  
i jawor młody, smukły, zielony,  
biorący w pierś swą tęskliwie tony:

cuda nad cuda, że młody mnich  
jak w oceanie utonął w nich —  
wszak wyobraźnia wszystko uświetnia,  
a tu czas śliczny, a tu noc letnia  
i taka słodycz, że w złotych snach,  
że we wspomnieniach gdzieś tylko — ach! —  
podobne czary ujrzysz w przelocie,  
by stąd za nimi wędnać w tęsknocie —  
skrzydła by chciało się przypiąć wraz  
i ziemski stawiać na dole płaz,  
zeglować w błękit, do gwiazd tysiąca,  
do ciszy i do światel miesiąca —

a kędys tylko, a kędys — z ziem —  
jaśminy gonią mię słodkim tchem  
i zmęczonego wzięwszy na skrzydła,  
niosą w obłoku i w mgle kadzidla...

Wtem — jak zgrzyt szklisty, memento... dzwoni!  
Z wieży klasztornej doleciał ton.

Mnich się otrząsnął i — czerwiów chmury,  
zda się, nie widząc — pędził do góry.

Rankiem zaś braci cnej widział chór,  
jak młodzian głową bił w twardy mur,  
jak ukłękawszy przed Matką boską,  
patrzył w jej oczy z bezbrzeżną troską.

STANISŁAW SKORUPKA.

<sup>1)</sup> Z cyklu: „Kuszenie mnicha”.

WŁADYSŁAW KOZICKI.

## WŁADYSŁAW JAROCKI

(Twórczość artysty na tle rozwoju nowszej sztuki polskiej.)

Przemiany sztuki współczesnej szybko następują po sobie, rozwój jej odbywa się w tempie przyspieszonym. Odnosi się to przede wszystkim do malarstwa polskiego, które, jako zwarta, samoistna całość, wystąpiło na widownię europejską późno, bo dopiero w drugiej połowie XIX wieku, a wskutek tego, chcąc dotrzymać kroku postępowi sztuki obcej, której ożywcze pierwiastki wchłaniało w swe młode, spragnione pełnego tchu płuca, nie mogło zbyt długo zatrzymać się na świeżo osiągniętych wyżynach, lecz ogarnięte wихrem ciągłego dążenia naprzód ku coraz to nowym musiało wspinać się szczytami. W stosunku do sztuki obcej, zwłaszcza do tej, która w XIX wieku kierownicze zajęła stanowisko, t. j. w stosunku do sztuki francuskiej, byliśmy mocno opóźnieni. Wszakże w czasie, gdy u nas w całej pełni królowało jeszcze malarstwo historyczne i dochodziło do zenitu w tytanicznej twórczości Matejki, na zachodzie, skruszywszy zwycięzko piewsze kopie, zdobywał już sobie prawo obywatelstwa impresjonizm.



Nic dziwnego zatem, że malarstwo nasze, o ile mu akademizm i tradycja nie wystarczały, musiało w swym olimpijskim biegu do nigdy nieosiągalnej mety ideału artystycznego spieszyć się i, nie szczędząc sił, zmieniać szybko prądy i kierunki. To też krótko, bo zaledwie niecałe ćwierćwiecze obejmująca epoka pomatejkowska, która, coprawda, zaczęła się jeszcze przed śmiercią mistrza (1 listopada 1893), da się ująć w trzy rozdziały o wybitnie odrębnych fizyognomiach. Dwa z nich są już zamknięte w tem znaczeniu, że nie zawierają już żadnych wartości rozwojowych, trzeci jest dopiero zaczęty. Oczywiście nie zmienia to postaci rzeczy, że artyści, reprezentujący te trzy kierunki, żyją równocześnie, bo nie o podział chronologiczno-biograficzny tu idzie, lecz o istotne cechy, znamionujące pewne, zasadniczo różne idee malarskie. Nadto z góry zastrzedz się trzeba, że podział ten, jak zresztą każdy inny, względnie tylko i w najogólniejszych zarysach może odpowiadać rzeczywistości, gdyż rozlewność życia twórczego sprawia, że elementy, nadające wyraz pewnemu kierunkowi sztuki, przenikają do innych, skupiając się w indywidualnościach artystycznych, które bez reszty w żadnym z nich pomieścić się nie dadzą. Dotyczy to głównie wielkich twórców, wobec których wszelka systematyka bezradnie kapituluje.

Z wspomnianych trzech kierunków i grup artystycznych, do pierwszej należą malarze, którzy do sztuki naszej nie wnoszą pierwiastków bezwzględnie nowych, ale mają charakter twórczości epigonicznej, często co prawda w bardzo szlachetnem znaczeniu, ale zawsze pochodnej, niesamoistnej. Są to najpierw naśladowcy, następcy i duchowi uczniowie czterech wielkich rodziców i inicjatorów malarstwa polskiego: Juliusza Kossaka, Artura Grottgera, Jana Matejki i Henryka Rodakowskiego, obok których — mimo niewątpliwie niższości samorodnej siły i inspiracji twórczej — bądź co bądź postawić trzeba Henryka Siemiradzkiego, jako najdoskonalszego u nas przedstawiciela ducha i formy klasycznej. Dalej zaś wchodzi tu malarze, którzy, nie przełamując zasadniczo granic tych kierunków, modyfikują je pod naciskiem przyswojonych przez siebie prądów obcych, czy to będą monachijskie wpływy szkoły Seitz'a, Anschütza lub Wagnera, czy też wiedeńskie Makarta, czy paryskie Cogniet'a, Laurens'a, Carolus'a Duranda i innych, czy wreszcie odblaski sztuki kierunku nowszego opozycyjnego, które padają na prace tych artystów, modernizując je i nadając im pozory świeżości. Należą tu słowem ci wszyscy, których niedawno jeszcze „Młoda Polska“ określała nazwą „starej szkoły“, a więc Brandt, Wierusz-Kowalski, Tadeusz Ajdukiewicz, Makarewicz, Wojciech Kossak, Pochwalski, Rozwadowski, Batowski, Jan Styka, Żmurko, Czachórski, Stachiewicz,

Alchimowicz, Kochanowski, Męcina-Krzesz, Augustynowicz, Masłowski, Piątkowski, Popowski, Lenc, Wodzinowski, Antoni Piotrowski, Strojnowski, Stabrowski, Wygrzywolski, Bratkowski, Ćwikliński, Rejchan, Reyner i inni.



Dla dwu dalszych kierunków probierzem jest ich stosunek do naturalizmu. Pierwszy z nich wypisuje naturalizm na swym sztandarze i walczy pod jego hasłem. Bój ten zainicyował u nas w krytyce — jak wiadomo — St. Witkiewicz, którego namiętne artykuły, nieoszczędzające nawet Matejki, przeciwko akademizmowi historycznemu, teatralności, pozie i wazelakiej nieprawdzie w sztuce, urotowały drogę z wolna do nas docierającym nowym prądom zachodu: pleneryzmowi i impresjonizmowi. Oba zaś te kierunki nie były niczem innym jak naturalizmem, jak jego kwintesencją i najbardziej zasadniczym kształtem. Bo jeśli artysta, porzucając wszelki generalny koloryt pracowni, wszelkie brunatne, czy szare rosy, wynosi swą sztalugę na wolne powietrze i otacza swój obraz zmienną, wibrującą atmosferą powietrza i słońca; jeśli tenże malarz posuwa swe podporządkowanie się naturze i chęć wiernego jej odtworzenia do tego stopnia, że chce malować i maluje nie pojęciowe, powiedzmy, naukowe, doświadczenia pamięci, ale swe chwilowe wrażenia, jeśli celem jego jest nie już abstrakcyjna prawda trwania, ale konkretna prawda momentu — to artysta ów daje po prostu możliwe najwierniejsze odtworzenie natury, staje się wykonawcą postulatów jak najakrainiejszego naturalizmu. Mimo to, sztuka ta była w całym słowa znaczeniu twórczą, a nie od-

twórczą, bo stworzyła cały nowy artystyczny pogląd na świat, dała ludziom nowe oczy i nauczyła ich inaczej patrzeć na naturę.

Z chwilą, kiedy pod auspicjami wielkich nazwisk Edwarda Maneta, Claude Moneta i Renoira odbył do nas tryumfalny wjazd naturalizm w szacie impresjonizmu, nastąpiło odmłodzenie sztuki polskiej, malarze nasi zaczęli malować słońcem i światłem, rozmiłowali się w barwie, zainicyowali tę dolę polskiego malarstwa, która jest słusnie naszą chlubą, a przedmiotem podziwu u obcych. „Młoda Polska“ objęła berło nowej sztuki. Pionierami jej byli Pruszkowski i Podkowiński oraz obaj Gierymscy, zwłaszcza Aleksander, patronem sędziwy Józef Chelmoński, który, wyrósłszy w innej epoce, z cudowną, wieczystą młodością wielkiego talentu odrazu poczuł się u siebie na nowym gruncie, głównymi zaś protagonistami Wyczółkowski, Pankiewicz, Mehoffer, Stanisławski, Fałat, Ruszczyk, Boznańska, Malczewski, Wyspiański, w dalszym zaś rzędzie Wł. Tetmajer, Axentowicz i St. Dębicki.



Oczywiście nie można stąd wysnuć wniosku, że wszyscy ci artyści są w całości naturalistami. Niemożliwe to choćby dlatego, że mamy też do czynienia z artystami pierwszorzędnymi, którzy mocą wewnętrznych sił du-

chowych i głębią natchnienia rozsadzają ramy wszelkiej klasyfikacji. Trudno zaliczyć do naturalistów gotycko wzniesłego, tragicznego Wyspiańskiego, zagłębionego w świecie poetyckich wizji Malczewskiego, czy baladowo romantycznego Ruszczyca. Nie da się jednak zaprzeczyć, że impresjonizm, a więc naturalizm był tłem, a przynajmniej punktem wyjścia dla ich czysto malarskich zagadnień, że, biorąc rzecz z punktu widzenia samej formy, jest to ściana, która ich odcina od dawnej sztuki, a zarazem najogólniejszą cechą wspólną dla charakterystyki epoki. Symbolizm, z którego umiarkowanymi i zindywidualizowanymi objawami tu się spotykamy, wskutek zaznaczonego na wstępie przyspieszonego tempa rozwoju naszej sztuki, chociaż na zachodzie zrodził się znacznie później, od impresjonizmu, do nas przyszedł niemal równocześnie. Stąd skrzyżowanie się prądów. Zresztą symbolizm bezwzględny w tej formie, w jakiej uprawia go Knopff lub Klimt, nie wielu miał u nas wyznawców. Hołdowali mu tylko nieliczni artyści i to bynajmniej nie pierwszej miary, jak Edward Okuń, Maryan Wawrzeniecki, Radziszewski, z najmłodszych zaś bardzo interesujący i subtelny, przedwcześnie zmarły Jakimowicz.

Nowe pokolenie, które po „Młodej Polsce“ wstąpiło na widowinę, szło zrazu, a po części idzie nawet jeszcze obecnie, drogami, wytkniętymi przez swych nauczycieli. Liczni wśród nich, nie siląc się o zdobycie zasadniczo nowych widnokręgów, poddają się ciągle wpływowi swych mistrzów, a, o ile są godnymi szacunku artystami, ograniczają się do indywidualnego przetrwania otrzymanych od nich impulsów. I tak: Vlastimil Hoffmann kontynuuje Malczewskiego, Karpiński Mehoffera skombinowanego z Axentowiczem, Rembowski Wyspiańskiego, Krasnowolski i Uziębło (w rzeczach figuralnych) Tetmajera, Filipkiewicz, Szczygliński, Stanisław i Józef Czajkowiec, St. Janowski, Podgórski, Talaga, Gałek, Skoczylas i Uziębło (w pejzażach) — żyją w przetransponowanym na swoje walory świecie Stanisławskiego, na który spada czar śniegu z obrazów Fałata.

Nie chciałbym być źle rozumiany. Nie twierdę, że ci dzielni artyści są naśladowcami. Przeciwnie każdy z nich przynosi swój ton własny, ale żaden prócz może jednego Filipkiewicza z ostatniej fazy jego rozwoju, nie zrywa, ani nawet nie usiłuje zerwać z przeszłością.

Lecz naturalizm, spełniwszy swą rolę puryfikatorską, podobną do tej, jaką odegrał niegdyś w zarym quattrociento, kiedy z Masacciem zaczął uczyć zrozumienia prawdy ciała ludzkiego, z czasem zużył się i przeżył. Wypędził chochoły sztucznego akademizmu i historycznej kostyumologii, ukazał artystom prawdziwą naturę; zetknął ich z żywiołem ziemi i wsażył w nich nowe siły, lecz w końcu stanął wobec próżni, by przetrwać i powtarzać samego siebie. Malarze poczuli, że natura już im nie wystarcza, że chcąc się wypowiedzieć, muszą uzyskać pełną wobec niej autonomię. W dążeniu tem spotkali się nasi twórcy plastyczni z podobnymi aspiracjami na zachodzie, gdzie najpełniejszy wyraz dali im we Francji Gauguin i Cézanne, a w Szwajcaryi Hodler. Z tą chwilą zaczyna się nowy rozdział naszej sztuki, którego treścią i istotą jest walka z naturalizmem. Nie idzie już teraz o to, aby naturę naśladować, ale, aby ją przekomponować, nie o to, aby odtworzyć jej wyraz rzeczywisty, choćby tylko ograniczony — jak w impresjonizmie — do pewnego momentu, lecz aby stworzyć jej syntezę, zależną od tendencji umysłowych malarza i jego właściwości psychofizycznych. Antinaturalizm jako syntetyzm formy i symbolizm barwy (— czego nie należy mieszać z symbolizmem tematowym —) — oto podstawy tego nowego kierunku.

Wypływając ze wspólnego źródła, podąża on dwoma strumieniami. Jeden — to antinaturalizm bezwzględny, którego najwybitniejszymi przedstawicielami za granicą są wspomniani codopiero Gauguin, Cézanne i Hodler, u nas zaś Wł. Ślewiński, Ignacy Pieńkowski, i Tymon Niesiołowski. Drugi — to impresjonizm syntetyczny, tem się od dawnego różniący że — przy zachowaniu ogólnej jasności tonu, a często także techniki dywizjonizmu czy pointyilizmu, nie stoi na stanowisku wierności wobec kolorów natury, lecz zastępuje je autorytatywnie stworzonymi harmoniami barwnymi, podyktowanymi instynktem malarskim twórcy. Kierunek ten, którego ojcem jest we Francji van Gogh, a głównymi wyrazicielami Vuillard, Roussel i Bonnard oraz Belgijczyk van Rysselberghe, u nas najskrajniej, a zarazem najświetniej i w sposób zupełnie indywidualny reprezentuje Sichulski, nadto zaś Pankiewicz, który — semper rerum novarum studiosus — i w tej nowej szacie okazał się mistrzem, oraz Kamocki, Rubczak, Terlecki i po części Filipkiewicz.

(C. D. N.)

## MISCELLANEA

## SZTUKI PLASTYCZNE.

(Salon Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Poznaniu. Jacek Malczewski i inni...)

Zrodził się promień z ducha i bieżał w ciemne Niewiadomego przestrzenie i błędził długo w czarnej sferze nocy. Promieniał i gorzał. Przeleciał poprzez wszystkie rozłogi bożego stworzenia, przedarł toń firmamentu, mijając gwiazdę po gwiazdzie. „Uchwycił jedną garść globów, zakręcił nią jak tęczą ogniatą i porwał za sobą”. Leciał i palił wszachotocznie przydrożne a stapał najtwardsze granity na ogniatą lawę, co łzami ociekała po stokach wazechbytu. Aż zainiał oczom, które za nim podążyć nie mogły i znikł na kraju wieczności. Opuściłszy kręgi, okiem i myślą dościgł, przemierzył po wiele kroć wazechistność, osiadł na krawędzi straszliwej, otchłannej czeluści i otdął mierzy jej głębię.

Nad krawędzią oną jasne plamy znalazł, ślady promienia-tulacza, który śnać wprzód tydy przybieżył i w czarną zapuścił się głębię. Pomknął w ślad za nim — w otchłań wiecznej tajemnicy...

— — — W niezmierzonej ducha toni padł promień na promień...

— — — Odnalazł Malczewski — Słowackiego.

Twórcza świadomość krewienatwa duszy malarza z duszą poety widnieje jasno w każdym tworze Malczewskiego — bez względu czy „temat” zaczerpnięty bezpośrednio z wizji nieokiełznanego romantyka.

Malczewski, wyzwolewszy się szybko z krakowskiej manieri malarzkiej pomatejkowskiej ery, mógł całą siłą swego ducha rzucić się w najzawrotniejazę wyżę, kędy buja duch Słowackiego. Przyziemniemi więzami nieakrepowany, hamulcy ni trudności żadnych nie znający, poszybował artysta śmiało w krainę wielkiego Juliusza i jako równy z równym zaklina twory polskiego plemienia w arkę przymierza świątyni wazechducha.

Co wyczarował Słowacki dźwiękiem mowy, odbiło się echem w duszy Malczewskiego i zajaśniało tęczą przębogatą w jego obrazie. Co zaś Malczewski ujawnił niedostępną nieraz dla ludzi wizję, to było przeczute nieświadomie w duszy Słowackiego. Poprzez odległość półwiecza dwie te niezgłębione siły wymieniają iskry, niby potężne dwie chmury błyskawicami nawzajem się zwiastując.

To co najgłodniejzę jest w narodzie, co najdalej odbiega od przyziemnej szarzyzny, co najjaśniejzę w duszy Polaka, co najświętżę w jego bólu — to znalazło wyraz w twórcach obu wizjonerów.

Roztęczyły się sale skromnego naszego przybytku sztuki rzadkimi w Poznaniu obrazami Jacka Malczewskiego. Przeleciał znów cicho przoz stare mury nasze najwiękzszego poety duch, który zaklęty w cienie sztuki Malczewskiego, królewski stanął przed naszymi oczami; duch uzmysłowiony, widzialny, nieledwie dotykalny. Tęskne oko widza szuka wspomnieniem krainę tortur narodu, gdzie w bólu męczennik gniał się na te wyżyny, które z krainą Boga graniczą, gdzie piekło narodu łączy się z jego wiekuiatością, gdzie mroźny, lodowy przestwór wyzwala duszę Elenai, która na skrzydłach anioła niesiona w aloneczne Boga mieszkanie, rąbek nieba nam uchyla...

Pogwar przechodniów męci ciszę, pierzcha czar zadumy. Wraca świadomość rzeczywistości.

Znów cisza — — — poszli — a jednak zgryzyt jakiś pozostał w atmosferze wystawy. Aha! to sąsiednie obrazy — — —

Z żalem spoglądam raz jeszcze na ścianę dzieł Malczewskiego — — — czar rozwiął się — — Oto uśmiechają się te zgryzty, które co dopiero poalyztałem.

Stachiewicz.

Słodko, miłutko, cukrzanie — — — lokal fryzyeraki, czy cukiernia?

Zwracam się indziej z przykrem uczuciem mdłości. Oblany zimną wodą trzeba oglądam wystawę. i zdaje mi się, że „sąd” moj nabrał nagle zobojętnienia, niezbędnego rzekomo do pisania „recenzji”.

Piszę więc rozsądnie, z obowiązku, radując się wyłowieniem każdego „poprawniejszego” znamienia wystawy.

Wywióraki — — — zawaze ten sam i zawaze „nasz”, zawaze obfity, pełen widoków, i pełen awojzeczyzny pełen karteek z napisem „sprzedane”.

Z równem niemal powodzeniem wystawia sumiennie na każdej naszej wystawie Pelczyński. Krajobrazy jego są przeciwną do tamtych, lecz niemniej pełne umiłowania przyrody, którą niekiedy artysta aż w szablon stara się ujarzmić.

Rzadszemi są u nas rzeźby, z tem większą więc radością spoglądamy na posąg Kościuszki, dłuta Marcina Roźka, pełen ruchu i posłanniczego natchnienia, acz nie nowy w koncepcyi.

Vlastimil Hoffmann, Azentowicz, J. Dębicki i Grott wyróżniają się z powodzi prac i próbek, ale trudno zaliczyć ich obrazy do dzieł twórczych.

Co dalej? co dalej?... Tyle drobiazgu... dobre, słabe, świetne, miłe, niewyrysowane, niewymalowane, tu na odwrót, tam jeszcze inaczej. — Kochani artyści — darujcie — nie mamy czasu. Pięknie malujecie, ale dajcie nam święty spokój...

Bez oglądania reszty żyć można — powracam więc na chwilę do dzieł Malczewskiego, ale już sąsiedztwo jego nie pozwala skupić mi się na tyle, aby myśleć wyłącznie o „Beniowskiem” i raczej żal czuję do wystawy, że nie mieści w sobie prebiterium dla wyosobnienia czarujących twórców. Już zdolny tylko do patrzenia okiem „zwiedzającego”, oderwać się jednak nie mogą od dzieł Malczewskiego.

Catory obrazy, tworzące cykl „Bemowskiego”, śmiało a umiejętnie przez gospodarza wystawy zawieszono, tworzą jedną zwartą całość w kształcie krzyża, przez to potęguje się wrażenie.

O rysunku Malczewskiego, który może nie posiada równego sobie między współczesnymi, tyle już mówiono i pisano, że można tylko powtarzać, a jednak nie określiliby się w całej pełni jego wartości. W ten sposób wypowiedział się może artysta, który nie zna technicznych trudności, który z dawna już posiadał najtajniejsze łamigłówki sztuki malarzkiej. O ile najznakomitsi mistrze wykazują w swym rozwoju wyraźne stopnie wartości rysunkowych, o tyle Malczewski czyni wrażenie, jakoby przyszedł był na świat jako gotowy, genialny rysownik; najdawniejsze prace jego odznaczają się niezrównanym rysunkiem. Pojęcie zaś bryły jest u Malczewskiego tak wybujałe, że wkracza w dziedzinę rzeźby, że zdaje się, iż malarz przekroczył granice nakreślone pojęciem sztuki malarzkiej — a mógł sobie pozwolić na ignorowanie jakichkolwiek granic.

Artystyczny rozwój Malczewskiego odmiennie przedstawia się, gdy chodzi o kolorystykę.

Porzuciwszy wcześniej szablon ówczesnej szkoły krakowskiej, dość długo malował Malczewski w tonacji brunatnej. Dopiero po latach przerzucił się w krainę silne barwy, które znów wolelietnie doświadczenie ustosunkowało do tej miary, że najśmielsze barw zestawienia w przedziwnie subtelne harmonie jeły się zlewać.

Na polu kolorystyki artysta najwidoczniej walczyć musiał zaciekle, nim doszedł do zadziwiających zdobyczy, że i tu dziś nie zna żadnych trudności, żadnych przeszkód.

Kolorystyka Malczewskiego to przedziwna muzyka, równająca się czarowi najwyszukanaych kwiatów — śpiewających kwiatów.

Tak zniewoliwszy sobie wszystkie konieczności techniki mógł artysta, niehamowany zgola niczem, unieść się w wyżyny nieokiełzanych swych wizji i zbratać się duchem z Słowackim.

J. H.

**Wystawa doborowych dzieł malarstwa polskiego w Muzeum Im. Mielżyńskich** gromadzi w sobie szereg obrazów przeważnie „starszej szkoły”, nie dając wrażenia jej całokształtu, ale nosząc znamię dorywczości.

Na czoło wysuwają się obrazy Brandta i akwarela Juliusza Kosaka, obniżają zaś wartość kolekcji malowidła Wierusa Kowalskiego, a przedewszystkiem dyktanckie obrazki Sznerera, Chelmińskiego i t. p.

Nowoczesne malarstwo reprezentują obrazy kilku niepoważdnych mistrzów. Jacka Malczewskiego „Moja muza”, wykazująca najśmielsze i najdoskonalsze znamiona twórczości artysty nie może być policzona w poczet najgenialniejszych jego utworów, gdy chodzi o całość obrazu. Azentowicza pastel i Pałata akwarele należą do typowych ich obrazów.

Z młodej generacji polskich malarzy znajdujemy Vlastimila Hoffmanna. Kilka jego wystawionych tu dzieł to bodaj szczyt dotychczasowego rozwoju tego artysty. Twórczość Malczewskiego wycisnęła na Hoffmannie decydujące znamię. Najnowsze malarstwo polskie nie jest tu reprezentowane w ogóle.

Wystawa ta ma wielkie znaczenie dla tych z pośród naszej publiczności, którzy nie mieli sposobności zapoznania się z bliska z kilku artystami, o których często alyszeli i czytali.

**Wykłady Metafizyczne<sup>1)</sup>** stanowią trzeci tomik szkiców filozoficznych ogłaszanych przez autora w wydawnictwie „Wykłady Poznańskie” p. Niemierkiewicza. Bierzymy je do ręki z bolesnym uśmiechem, nie dowierając prawie sobie: w Poznaniu ukazują się jednak jeszcze książki filozoficzne! Boć książek dajemy Polsce mało, bardzo mało nawet, a już takich, które nie służą ani pożytkowi ani przyjemnemu lenistwu, nie ujrzyż nie. mal wcale. Więc jednak — nie wszystkie światła pogasały na promiennym ongi widnokręgu; raz wraz ukazuje się na ciemnym stropie meteor czy meteorek i śmieje się szyderczo z naszej dużej w siebie trzeźwości.

Nie wynika z tego, byśmy, śledząc jego bieg i mierząc siły jego blaaku, padali na kolana i śpiewali hymny pochwalne. Byłoby to niemądre lub nieszczerze — zaleźnie od wypadku. Wszelkie nowe dowody, stwierdzające naszą tak zwaną żywołność,

należy badać sumiennie i oceniać nie jak krewniaków, lecz jak ludzi obcych nam, związanych z nami jedynie wspólnością dążeń i pracy.

Książeczki p. Wizego nie spełnią zadania, które im autor przeznaczył — nie wpłyną na rozbudzenie się ducha filozoficznego, o ile rolę tę książka może w ogóle spełnić, a nie wpłyną dla tego, że nie są pisane ani przystępnie ani zajmująco. Przystępną nie można nazwać rozprawki, która zasypuje nas mnóstwem szczełółów, niezawsze ważnych i ciekawych, zajmującą zaś, w dobrem tego słowa znaczeniu, nie jest rozprawka, która zaczyna się i kończy oderwanymi pojęciami i nie wprowadza nas w twórczy chaos myśli filozoficznej, a w miejsce tego szereguje wyrwane z malowidel, zwanych systematami, momenty niby to końcowe i zasadnicze.

Obeznanemu nieco z obrazem wysiłków myśli ludzkiej czytelnikowi szkice autora dają wiele materiału zasługującego na uwagę, lecz zajmą go raczej jako *dokument*, nie zaś jako nowe spojrzenie na świat zagadnień filozoficznych — profanowi zgola wydadzą się niezmiernie powikłaną mozaiką paradoksów, których głębszej racji autor nie uzasadnia. A uzasadnia w ogóle bardzo rzadko, najczęściej bowiem, wśród wycieczek polemicznych, rozjaśnia spokojnie pasmo swych poglądów, nie wiele troszcząc się o czytelnika.

Tomiki, o których mówię, nie są rodzajem wstępu do filozofii, lecz katalogiem pomysłów, przy których autor na razie zatrzymał się w pielgrzymce do ziemi obiecoanej. A więc i ostatnia próba stworzenia pomostu między *profanum vulgus* a narodem filozofów, podjęta wśród naszych myślicieli, nie udała się.

Kazimierz Łuczewski.

**U POETÓW.** Już w pierwszym numerze „Zdroju” trzeba nam było pomówić o znaczeniu i istocie symbolu. Zdaje się nam, że wyjaśnienia nasze były dość jasne, by nasi Czytelnicy, balauntnie poinformowani o istocie tak zwanego „symbolizmu” przez analfabetycznych krytyków prowincjonalnej prasy zastanowili się wreszcie, że słowo „symbol”, całkiem co innego oznacza, jak obłąd myślowy, albo też „symbolista” jest czemś innym jak rozkochanym poetą, który w delirycznych nonsensach się wypowiada. W dzisiejszym numerze dajemy w mistrzowskim przekładzie Miriama wierzą Jana Moreasa, jednego z tych twórców

<sup>1)</sup> Kazimiera Filip Wise: Wykłady Metafizyczne. Wstęp — Kosmologia — Psychologia — Teozofia. Str. 106. Poznań 1917.



tak zwanej „szkoły symbolicznej,” która nigdy żadną szkołą nie była, li tylko protestem przeciw naturalizmowi, odrodzeniem starego romantyzmu, — poszukiwaniem odwiecznych związków, jakie zachodzą między „rzeczywistością,” — złudną omamą zmysłów, — a nigdy jedyną rzeczywistością, jaką jest świat poza-zmysłowy.

Pisać o nim przynależałoby Miriamowi, najbliższemu znawcy wszystkich kierunków, my możemy się ograniczyć li tylko do krótkiej notatki, zaczem nie będziemy w stanie dać miejsca obszernym wywodom o tak zwanej sztuce „symbolicznej.”

Jean Moréas, czyli jak się istotnie nazywał: *Papadaman-topoulos* urodził się w Atenach 1856, był Grekiem z pochodzenia, i osiadł w Paryżu od r. 1877.

Razem z Goudeau, Ch. Morice, Barrésem, Tailladem utworzył grupę tak zwanych „symbolistów,” to znaczy tych twórców, którzy według przepięknej „syntetycznej” formuły Miriam widzą w symbolu żywą, organiczną analogię wewnętrzną, odtworzenie rzeczywistości, w której formy, postacie i zjawiska zmysłowe mają swój sens zwykły, powszedni dla ludzi, zada-walających się powierzchnią, lecz dla szukających głębiej, kryją w swem wnętrzu otchłanie nieakończoności...

Wdług Moréasa symbol strzeżca się w tem, że jakieś pojęcie weźmie na siebie widomy, zmysłowy kształt, który atoli nie powinien być celem sam dla siebie. Forma, kształt powinny wyrażać idee, ale być jej poddane. Idea nie powinna się okazywać na zewnątrz bez przepychu ornatu zewnętrznych analogii, bo istotny charakter sztuki symbolicznej w tem właśnie tkwi, aby nie dobiegać do koncepcji idei samej w sobie.

To znaczy, że tylko symbolem jestem w stanie wyrazić to wszystko podświadome, nieuchwytnie, zaledwie przezuwalne, które na dnie każdej rzeczy spoczywa — do samego jądra, do istoty rzeczy dotrzeć nietylko, że nie jest możliwem, ale jest według Novalisa gwałceniem tajemnicy: „Tajemnice są pokarmem; odkrycia są tajemnicami strawionemi.” — „Co nie jest tajemnicze, jest codzienne, pospolite — co jest pospolite, jest głupie, a co jest głupie, nie może być istotą rzeczy.”

A mistrzem Moréasa był on wielki Mallarmé, który powiedział: *que la poésie, réservée aux initiés est interdite aux profanes, qu'elle n'a pas besoin d'être claire comme le grand jour, — który wierzył, że przeciw przysługuje to prawo: „de ne pas se rendre tout à fait intelligible, car on y peut mettre ainsi ce que l'on veut.”*

Pierwszy tomik jego poezji „*Les Syrtas*” (1894) wywołał wielką wrzawę i odtąd zaczęto majaczyć o „symbolistach.”

Niezadługo 1896 pojawił się drugi tomik: *Cantilènes* i teraz Moréas stał się *popularnym*, w równej mierze jak ówczesni „impresyoniści.”

Odrzucił wszystkie reguły obowiązującej prozody, targnął się na uświęconą cenzurę, wykipił wiersz aleksandryjski, odrzucił regularną wymianę rymów męskich przez żeńskie i proklamował wiersz wyzwolony, „*Vers libres*.” Szczęty popularności u nowotwórczej młodzieży literackiej osiągnął zbiorem poezji, „*Pelerin passionné*.”

Ale zaciekle zwolennik wolnego wiersza, stał się niezadługo apostata.

„*Il faux redevenir à nous memes*” zawyrokołał niezadługo, a wraz z André Chenier woła:

„*Faisons des vers antiques sur des pensées nouvelles!*” — a wraz z Henri Regnier i Emilem Verhaeremem zaświadczał podczas „*Concours poetiques*” zainicjowany przez Sully Prudhomme, że w marcu 1904 r. wolny wiersz w Francji ostatecznie swój żywot zakończył.

Dla swej twórczości znalazł sobie teraz Moréas ujęcie w klasycznej nowo-lacińskiej a raczej odrodzono-greckiej formie: Przypomina, że uczucia ludzkie i namiętności nie się nie zmieniały, a najczęściej i w istotnie wielkim przepychu przejawiają się w wspaniałej nagości greckiej tragedji, której prosta dziewicza forma duszę ludzką wyrwa z nizin do uwielbienia prawdziwej piękności. Owocem tego kultu „nagiej” greckiej piękności, to wspaniały jego dramat „*Iphigénie*” (1903).

Piękne słowa powiedział o nim Barrés: *il a la faculté d'éliminer tout ce qui est vulgaire, pâteux, diaphane et d'ordonner des mets métalliques et colorés, des images brèves et intéressantes avec la sûreté d'un sauvage, assemblant les pierres de ses colliers de danse — ale piękniejszymi jeszcze słowy uczcił Moréas życie, jakiem żył:*

„*Ne dites pas: la vie est un joyeux festin,  
Ou c'est d'un esprit sot ou c'est d'une âme basse.  
Surtout ne dites point: elle est malheur sans fin!  
C'est d'un mauvais courage et qui trop tôt se lasse.*”

*Riez, comme au printemps s'agitent les rameaux,  
Pleurez comme la brise ou le flot sur la grève,  
Goûtez tous les plaisirs et souffrez tous les maux  
Et dites: c'est beaucoup et c'est l'ombre d'un rêve.”*

## WĘDROWNY SZTUKMISTRZ.

Dzięki łaskawości Zenona Przesmyckiego, któremu świat kulturalny, a przedewszystkiem Polska, zawdzięcza wydobycie na światło dzienne z pleśni zapomnienia arcytwórców jednego z największych naszych wieszczów — możemy z czytelnikami naszymi podzielić się wrażeniem o najnowszej książce Norwidowskiej, przez Miriam wydanej: *Trzy fragmenty epickie — z odnalezionych rękopisów poety: „Wędrowny sztukmistrz...”, „a Dorio ad Phrygium”, „Emil na Gozdaniu” — składają zię na niezwykłą tę książkę. Graficzny układ obmyślony przez tak wytrawnych estetów jak Przesmycki i Półtawski, sprawia, że sztuka wydawnicza polska wzbogaconą została o jedną z najpiękniejszych ksiąg, jakie się u nas pojawiły. Szata książki godna jest treści Norwidowej. — Za przesłany nam łaskawie egzemplarz Czcigodnemu Ofiarodawcy składamy niniejszem nasze gorące podziękowanie.*

Redakcja.

## O wiersze Adama Bederskiego...

### Otrzymujemy pismo następujące

Panu Czesławowi Kędziarskiemu do rozważań... Na drugiej stronie dodatku w numerze 260ym „*Kuryera Poznańskiego*” umieściles Pan słów kilka o „Zdroju” niby od niechcenia gestem przez Pana ulubionym, wytrząśniętych z rękawa. Fakt sam ani zadziwiający ani zresztą ciekawy. Słowa Pańskie żadnego zresztą nie miałyby znaczenia, ponieważ nie są wypływem ani umysłu krytycznego ani chyba nie roszcżą sobie pretensyi do jakiegokolwiek powagi — zresztą Pan sam nadałes im ton lekceważąco-lekkomyślny. Ton wyższości, którego Pan używasz raczej, z pewnością jest wynikiem wielkich zasług i znacznej pracy na polu literatury. Inaczej nie wiedziałbym, na mocy czego Pan mogłes pozwolić sobie na podobne wystąpienie w obec utworów Adama Bederskiego.

W obronie osoby pańskiej przypuszczam, żeś pan wierzysz Bederskiego nie przeczytał do końca a zniechęcony trudnościami wymyślenia się w nie, zeszyt na bok odrzucił. Nie chcę bowiem twierdzić, żeś Pan wiadomym chciał obrzucić „szczeroko” poety. W przeciwnym razie umiałbym Panu zarzucić lekkomyślność — tem większą, że słowom Pańskim znaczenia dodaje powaga gazety, której Pan nadużyłes. Jako człowiek, chcący stać w pew-

nym związku ze sztuką, zapewne jesteś pan szczerym w obec siebie i dla tego jestem przekonany, że czujesz Pan, iż wypowiedzenia takie nie miałyby znaczenia żadnego, gdyby nie gazeta, która poważną liczbą abonentów dodaje im wagi. Pisząc, wiedziałeś Pan doskonale, że słowa twoje z pewną powierzchownością i niegodną krytyką zjadliwością pisane, dotrą do tysięcy czytelników, którzy jako abonenci gazety mimowoli je przeczytają. Jednakowoż nie zawahałeś się Pan przed wykorzystaniem przewagi tej przeciwko poecie, któremu brak środków podobnie skutecznych do obrony własnej. Na myśl Panu nie przyszło, że nawet w polemice obowiązują pewne prawa uczciwości, jeżeli wydawanie sądu o kimkolwiek bądź nie ma się kończyć na ordynarnem ujadaniu.

Ponieważ gazeta poważna używa panu lamów, koniecznie przypuścić muszę, że posiadasz Pan zdolności, które upoważniają do wydawania sądu w rzeczach sztuki. Tem więcej zastanawia mnie, że w słowach skierowanych przeciwko Bederowskiemu zaparłeś się Pan (oczywiście dobrowolnie) swego talentu krytycznego. Chyba Pan nie twierdzisz, że zdania, które napisałeś, mają w sobie chociażby odrobinę słuszności krytycznej. Manierą pismaków ośmieszasz Pan rzecz, której nie możesz dotrzeć. Z powodów mi nieznanych wolałeś Pan przyznać się publicznie do niezrozumienia wierszy Bederowskiego, wolałeś Pan napisać, że związek między słowami wierszy dopatrzyć się nie mogłeś. Nie wiem, czy jedyną formą zwalczania rzeczy wychodzących poza horyzont krytyka lub jemu niesympatycznych jest chęć ośmieszenia ich publicznie. Twierdzę, że przy pewnej zdolności krytycznej powinienś Pan był wyczytać niedwuznaczną zupełnie myśl poety a przynajmniej przyjąć do przekonania, że dobór słów w wierszach Bederowskiego jest uczyniony z wielkim namysłem i dokładnem wyczelowaniem myśli szczerzej. Z pewnością nie żądam za wiele! Przecież praca intensywnego czytania się jest obowiązkiem krytyka. Pan jednak przyznałeś się publicznie... Wybaczysz pan więc, że obudzili się we mnie pewne wątpliwości.

Możnaby przypuścić, że jesteś Pan reprezentantem konserwatywnym i nienawidzisz nowości — nikt nie mógłby uczynić z tego zarzutu. Uniemożliwiłabyś Pan jednak wszelkie próby wytlumaczenia się przed tobą samym. W każdym prawie elaboracie Pańskim figuruje frazes „nic nowego”. Słowa te mają wzbudzić w czytelniku mniemanie, że jesteś Pan przystępnym wszelkiemu nowatorstwu. Słowo to ukochałeś Pan i powtarzasz je raz po raz z pewnem ubolewaniem — po ostatnim wypadku jednak śmiem twierdzić — i z obłudą.

Pan nie życzy sobie nic nowego, ponieważ wszystkie nowe zmusiłoby Pana do pracy umysłowej i wytargnęłoby z wygodnej drzemki. Nie śmiem twierdzić, że rzeczy nowe mogłyby Pana „zaniepokoić”, ponieważ musiałbym przypisać Panu więcej głębi ducha, aniżeli na to pozwala ostatnie wynurzenie się Pańskie.

Poznań, dnia 14. XI. 1917.

Staniław Kubicki.

## ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

*Katędzu P. R. z B. Książka Norwidowska, o której mówił Gomułki w swym „liście otwartym”, jest niesprzedana.*

Powyżej poświęciliśmy krótkie słowo nad wyraz cennej tej książce. Z ogłoszonego przez Miriamę pomnikowego 8-tomowego wydawnictwa, z „Pism zebranych” Norwida, wyszły dotąd

trzy tomy: Poezye część I, Dramaty część I, Legendy i nowela część I. Tom czwarty, zawierający „Pisma o sztuce i literaturze”, z powodu trudności wojennych dotąd nie ukazał się. Pozostałe cztery tomy zawierają będą: Poezye część II, Dramaty część II Pisma filozoficzne, społeczne i polityczne, korespondencya.

Nakład J. Mortkowicza w Warszawie.

*Panu A. Nowińskiemu w Lublinie.* Ubolewasz Pan słusznie nad oświadczeniem Przybyszewskiego w I zeszyt „Zdroju”, stwierdzającym, iż poeta nie bierze udziału w redakcyi pisma naszego. List Pański każe przypuszczać, jakobyś Pan sądził, iż oświadczenie Przybyszewskiego spowodowały różnice artystycznych i etycznych poglądów wśród kierowników „Zdroju”. Tymczasem powód jest poprostu ten, że Przybyszewski, przeceniając bezsilnie szarpanie się niektórych osobników w Poznaniu i okolicy, uznał ku naszemu żalowi za wskazane swoją osobą nie szkodzić „Zdrojowi”. Dla tego życzył sobie, abyśmy wydrukowali jego aprobowanie. Z naszej strony byłoby tchórzostwem, gdybyśmy mieli kierować się według niedoważonych zachcianek naszych malkontentów i dla tego możemy tu oświadczyć Panu i wszystkim wielbicielom niezrówanego twórcy „Zmierczu”, że „Zdroj” drukować będzie jego utwory, skoro tylko je otrzyma. W przeciwnym bowiem razie pismo nasze nie byłoby wyrazicielem współczesnej twórczości polskiej.

Zdziwienie pańskie najzupełniej rozumiemy; nie znasz Pan bowiem naszego zaścianka.

*Panu J. N. w Ch.* Z zapytania Pańskiego i krótkiego wywodu wnosim, że zwalczania „pożytecznych”, „umoralniających” i „podnoszących ducha” tendencji w sztuce nie możesz Pan pogodzić z własnym światopoglądem. Wprawdzie — teoretycznie — gotów jesteś Pan „pozostawić twórcom wolność wypowiedzenia się”, ale co prędzej wolność tę pragniesz Pan ograniczyć do ram „idei, które są naszą podstawą”. Byłaby to wolność poety, gdyby musiał krępować się wizerzeniami pańskimi albo pewnego zbiorowiska ludzi? Zapominamy zazwyczaj, że idee nasze są niczem innym, jak ideami geniuszów, z nich zrodziły się nasze dusze, nasze umysły, nasze tęsknoty. Jesteśmy garnkami o tym fasonie, w jakim nas tamci ulepił, niejednym nadpękl, inny zgola się rozbił, inny znów zmuszał... ten i ów został cały, nieknięty. Widzimy obok siebie twórców, z których wyłaniają się genjusze; ci lepią garnki przyszłości i oto my, nie garnce, wołamy im, iż lepić swe twory lepiej dla tego, że odmiennie niż nasze formują „idee”.

Utrudnienia pocztowe obecnych czasów, stąd opóźnienie się przesyłki korektovej sprawiły tę niedopuszczalną w zwykłych warunkach fatalność, że cały ustęp OPOWIEŚCI RYBAŁTA z zeszytu trzeciego został odbity wręcz z pominięciem ostatniej korekty.

Okoliczność czasów dzisiejszych i przestrzegana bezwzględnie punktualność w wychodzeniu zeszytów muszą usprawiedliwić redakcyę pracującą w niezwykle trudnych warunkach wydawniczych.

Mimo to zgotowano autorowi na samym początku powieści, mówiąc najogólniej... nieporozumienie z czytelnikiem dobrej woli. Tę odesłać mogą już tylko do książkowego kiedys wydania. Bo trudno wliczać tu nazbyt obfite errata, choćby więcej tylko str. 72!

W mojem przekonaniu nie wolno jednak pokrywać tej fatalności milczeniem, zwłaszcza w piśmie artystycznem, które tak wysoko zakreśliło wojny sztuki, w wydawnictwie bibliograficznie bądźco bądź trwałem.

Wacław Berent.

Redaktor naczelny i odpowiedzialny: Jerzy Hulewicz, Kościanki. — Nakładem Spółki Wydawniczej „Ostoja” w Poznaniu.

Wszelkie prawa autorskie, przekładu oraz reprodukcji zastrzeżone. Copyright by „Ostoja” Poznań — Posen.

Odbito w łodzi „Pracy” w Poznaniu.



P 22281

# „OSTOJA” Spółka Wydawnicza w Poznaniu Plac Wilhelmowski nr. 17 - - - - -

**Dzieła „Ostoi” nabyć można między innymi w następujących księgarniach i agencjach:**

Bogdan Chrzanowski, Poznań, ul. św. Marcina 70  
 A. Cybulski .. .. . 9 10  
 Księgarnia św. Wojciecha .. .. . 69  
 J. Leitgeber & Co .. .. . Wilhelmowska 18  
 M. Niemlerkiewicz .. .. . plac Wilhelmowski 3  
 W. Tempłowicz .. .. . ul. Wilhelmowska 19  
 Ed. Bote & G. Bock .. .. . Berlińska 20  
 Josef Jolowicz .. .. . Stary Rynek 14  
 H. Bieleńska Fa. Globus, Szamotuły  
 Czarliński Roman, Gdańsk  
 Drukarnia Centralna, Śrem  
 Dziennik Berliński, Berlin O 27, Raupachstr. 6  
 Gąsiorowski, Śrem  
 Stefan Knast, Inowrocław  
 Księgarnia Bydgoska (B. Posłuszny), Bydgoszcz  
 Księgarnia Kujawska, Inowrocław  
 I. B. Lange, Gniezno  
 W. Niesiołowski, Ostrów  
 A. Prądyński, Września  
 Stefan Rowiński, Ostrów  
 Siwiński, Berlin, Langestr. 82  
 Kładrowski, Bydgoszcz  
 T. Rudnicki, Buk  
 L. Kromski, Zbąszyń  
 R. Ziętkowski, Czarnków

St. Mikołajski, Czempiń  
 Reich, Toruń  
 Zabłocki, Toruń  
 W. Urbaska, Toruń  
 J. Swinka, Kcynia  
 W. Lewandowski, Wolsztyn  
 B. Kiełmiński, Gostyń  
 W. Larolczak, Jaroцин  
 S. K. Ziolkowski, Janówlec  
 M. Kasprzak, Odolanów  
 M. Tomaszewska, Kościan  
 H. Stefanowicz  
 F. Achmański  
 W. Męchowski, Kruświca  
 J. Kochański, Krobica  
 M. H. Moll, Koźmin  
 A. Masłowski, Krotoszyn  
 Chmara, Leszno  
 M. Smoczkwicz, Mogilno  
 J. Czarnyński, Miłosław  
 W. Malicki, Nakło  
 M. Thiel, Oborniki  
 W. Poszwiński, Pniewy  
 H. Chudzińska, Pakość

S. Bendiewicz, Pleszew  
 I. Gizelski, Rogoźno  
 C. Wojciechowski, Śrem  
 L. Rogalski, Środa  
 J. Heinrich, Strzelno  
 J. Nowakowski, Trzemeszno  
 T. Kręglewski, Wągrówiec  
 L. Kollat, Wągrówiec  
 St. Czosnowski, Wranki.  
 M. Ceglowski, Witkowo  
 J. Cyplik, Książ  
 P. Rybacka, Żerkow  
 M. Ksycka, Żnin  
 Majkowski, Grodzisk  
 Drukarnia i Księgarnia, Pelplin  
 M. Muszyński, Czersk  
 F. K. Sikorski, Grudziądz  
 Władysław Majtkowski, Trzese  
 R. Wojtecki, Wąbrzeźno  
 M. Szczuka, Lubawa  
 A. Jankowski, Lubawa  
 K. Wojciechowski, Bradnica  
 B. Miłoszewski, Nowe Miasto  
 Wolniewicz, Kostrzyn.

**Składy główne:** na Królestwo Polskie **Gebethner & Wolff** w Warszawie.  
 „Galicyę” **Gebethner i Spółka** w Krakowie.  
 „Szwajcaryę” „**Librairie Polonia**” Lousanne Maisen du Kursaal

**Magazyn**  
 eleganckich kapeluszy  
 damskich  
**A. Kempieńska**  
 Poznań

Fabryka kapeluszy      Fabryka czapek futrzanych

## Nowości zimowe

|                            |          |        |
|----------------------------|----------|--------|
| Kostiumy . . . . .         | od 30 do | 550 M. |
| Spódnice . . . . .         | 15 "     | 190 "  |
| Ulstry . . . . .           | 38 "     | 360 "  |
| Paletoty aksam. i plusz. " | 90 "     | 1200 " |
| Suknie . . . . .           | 60 "     | 300 "  |
| Bluzki . . . . .           | 18 "     | 100 "  |
| Halki . . . . .            | 12 "     | 80 "   |

Plaszczę futrzane, Futra sportowe od 200 do 2000 M.  
 Garnitury futrzane od 60 do 1400 M.

**M. MABINOWSKI**  
 Najwięk. specjalny magazyn okryć damskich  
 Poznań, Stary Rynek 57, parter i I piętr.

# S. KALAMAJSKI, Plac Wilhelmowski 2.

| Dla Pań |             | Dla dzieci |             | Dla panów  |          |
|---------|-------------|------------|-------------|------------|----------|
| Bluzki  | Pończochy   | Sukienki   | Torebki     | Skarpety   | Szelki   |
| Gorsety | Rękawiczki  | Trykoty    | Koźnierzyki | Rękawiczki | Trykoty  |
| Halki   | Koźnierzyki | Fartuszki  | Kapelusze   | Krawaty    | Parasole |

← ← TOWARY KRÓTKIE — KORONKI — WSTAŻKI. → →

## W. MIZGALSKI Poznań - Bazar

Magazyn bławatów, konfekcyi damskiej i futer  
poleca na sezon zimowy

Gotowe futra  
„ garnitury futrzane  
„ płaszcze  
„ kostyummy  
„ suknie  
„ szlafroczyki  
„ bluzki  
„ czapki sealowe

### Własne pracownie

skunksy, seal bisam, opossum, bobry, nutria,  
karakuty, żebce, popielice, bielstki, chinchilla,  
gronostaje, sobole, nurki, tomaki, wilki, lisy  
białe, patagońskie, mongolskie etc. w wielkim wyborze.

## ATELIER REMBRANDT

właśc. S. Dobska

### Zakład fotografii artystycznej

Tel. 5430

Poznań, ulica Berlińska 4

Tel. 5430

## Fortepiany, pianina i harmonia.

Jak wiadomo, tylko fabrykaty pierwszorzędne;  
także Boohsteina, Berduxa, Steinwega, Schiodmayera, Hinkla, Hortigla, Burgera itd.

**Karol Ecke** w Poznaniu, ul. Wiktorji 19  
założ. 1843

Berlin-Drezno. Najwięk. i najstarszy magazyn. Katalogi bezpłatnie.

